Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 11 (1851) • 13 marca–19 marca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Kup pan sztabę

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 11

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 69f3f167e1

WOJNA DOMOWA

Premier spotkał się z prezydentem i każdy pozostał przy swoim. Donald Tusk uważa, że Karol Nawrocki powinien natychmiast podpisać ustawę o SAFE, podczas gdy Karol Nawrocki uważa, że Włodzimierz Czarzasty powinien natychmiast wprowadzić pod obrady sejmu prezydencką ustawę o Polskim Funduszu Inwestycji Obronnych – czyli tym, co wraz z Glapińskim reklamowali w zeszłym tygodniu jako „SAFE zero procent". Obie strony spotka głębokie rozczarowanie, ale za to lud prosty mógł ucieszyć się z dawna niewidzianym stand-upem prezesa NBP, który jest głęboko zraniony tym, że „nie ma zainteresowania" dla jego inicjatywy – jednej na pokolenie – i dlatego przemawiał przez godzinę z górą. Bardzo nam tego brakowało.

Szczególnie ujęło nas wyjaśnienie tego, jak prof. Glapiński wpadł na ten genialny pomysł, żeby kupować złoto na tony. Otóż prezes nie mógł spać po nocach. „Wojska rosyjskie przekroczyły granicę i ruszyły szybkim marszem na Kijów" – wspominał prezes z emocją. – „Czas ogromnego zaniepokojenia, a nawet strachu. W tym momencie zastanawiałem się – bezcenne noce, że tak powiem – co mogę ja i bank centralny, co możemy zrobić w interesie polskiego narodu, Polski, w tej trudnej sytuacji. A pamiętacie państwo: dużo się zajmowałem historią polskiego złota w 39 roku, jego wywózką, rolą, jaką odegrało tam, będąc na Zachodzie, i uświadomiłem sobie, że jedyne, co możemy zrobić na wielką skalę, to jest radykalnie szybkie zwiększenie zasobów złota"… Chyba byśmy jednak woleli, żeby polityka NBP była kreowana przez zespoły specjalistów analizujących trendy i wyłaniających optymalne rozwiązania, a nie przez sentyment Glapińskiego do sanacji. Ale w końcu zwycięzców się nie sądzi.

Jarosław Kaczyński rozwiał wątpliwości: kandydatem PiS na premiera został „profesor Przemysław Czarnek". Dr hab. Czarnek też nie ma wątpliwości: „Ja mam być maszynistą w tym pociągu, ale kierownikiem pociągu jest i będzie pan prezes Jarosław Kaczyński". No nie możemy się powstrzymać: „Rewolucji nie trzeba glorii, nie trzeba szumnych metafor. Potrzebny jest Maszynista, którym jest On"… Władysława Broniewskiego, jego spadkobierców i wielbicieli najserdeczniej przepraszamy za świętokradztwo, ale urok tego skojarzenia był silniejszy od nas. Józefa Stalina mimo wszystko nie przepraszamy.

Namaszczenie Czarnka na Maszynistę pozostawia Mateusza Morawieckiego na bocznym torze. Zapytany, czy wobec takiego rozwoju sytuacji jest gotów zostać w rządzie Czarnka wicepremierem, Morawiecki odpowiedział: „Niekoniecznie". Zapytany, czy jest skłonny powiedzieć coś więcej w tym temacie, odrzekł: „Nie, nic więcej". Tak sobie myślimy, że multimilioner, były prezes banku Morawiecki nie miał problemu, żeby zostać wicepremierem w rządzie byłej burmistrzycy Brzeszcz Beaty Szydło, ale służenie pod Czarnkiem uważa za zbyt niski upadek. Nie żebyśmy go nie rozumieli.

Irański blitzkrieg Donalda Trumpa powiódł się nienadzwyczajnie i w momencie zamykania tego numeru „NIE" wojna nadal trwa. W ciągu pierwszych 10 dni amerykańskie i izraelskie bombardowania zabiły w Iranie 1255 osób, głównie cywilów, w wieku od ośmiu miesięcy do 88 lat; ponad 12 tys. osób zostało rannych. Polski premier ma inne priorytety: „Wojna na Bliskim Wschodzie trwa, a chaos się rozprzestrzenia. Ceny ropy rosną. Waszyngton może znieść sankcje na rosyjską ropę. Kto jest tu prawdziwym zwycięzcą?" – zapytał dramatycznie na X Donald Tusk. Serio? To jest kluczowy problem? Nie – na przykład – zbombardowanie przez Amerykanów szkoły podstawowej w Minabie, gdzie zginęło 175 osób, głównie uczennic w wieku 7–12 lat? Tylko to, że Ruskie będą mogły oficjalnie ropę sprzedawać? Żeby zacytować klasyka: słuszną linię ma nasza władza…

Jeszcze à propos rosyjskiej ropy: narasta niejakie napięcie między Węgrami a Ukrainą. Ukraina twierdzi, że nie jest w stanie naprawić rurociągu „Przyjaźń", którym Rosja dostarcza Węgrom ropę, wobec czego Węgry twierdzą, że nie są w stanie zagłosować za pożyczką 90 mld euro dla Ukrainy i jeszcze aresztowali ukraińskich kurierów, którzy przewozili 40 baniek dolków i 35 baniek euro w gotówce, a także dziewięć kilo złota. Po protestach kurierów wypuścili, ale złoto i gotówkę zatrzymali. Prezydent Zełenski nie był zadowolony i zaproponował, żeby podać adres Orbána „naszym chłopakom, żeby do niego zadzwonili i pogadali po swojemu". Co na to premier Tusk? „Chciałbym, żebyśmy wykazali maksimum zrozumienia, nawet jeśli prezydent Zełenski powiedział jedno zdanie za dużo, to w sprawie zasadniczej nikt nie może mieć wątpliwości: Ukraina walczy o swoją niepodległość i nasze bezpieczeństwo". Tymczasem coraz więcej ludzi ma wątpliwości, choć nie mogą, i to nie tylko na Węgrzech.

A skoro już jesteśmy na Węgrzech: marszałek Czarzasty z dumą ogłosił, że odebrał Ziobrze diety poselskie oraz 95 proc. ryczałtu. Co oznacza, że teraz były minister będzie dostawał z polskiego sejmu 1350 zł. „Jak dla mnie to i tak za dużo jak na Ziobrę" – rzucił trwadzielsko Czarzasty. I podsumował: „Tak skończyła się wycieczka zimorodka do miasteczka". Czy ktoś może rozumie, o co panu marszałkowi chodziło?

Prokuratura w Gdańsku chce przesłuchać prezydenta RP w sprawie wynajmowania apartamentu Muzeum II Wojny. Karol Nawrocki, kiedy był dyrektorem muzeum, mieszkał tam za darmo, a apartament kosztował 700 zł za dobę i w sumie namieszkał za 20 tys., a nic nie zapłacił. Kiedy ta sprawa wypłynęła w kampanii wyborczej, Nawrocki ubawił nas szczerze opowieścią o tym, jak to mieszkał tam w kwarantannie i do tego bardzo produktywnie, bo „przeczytał dwa tysiące stron w siedmiu książkach". Jakże dr Nawrocki musi się męczyć przy czytaniu, skoro odmierza strony, niczym poborowy dni do wyjścia do cywila – zastanawialiśmy się wówczas. Ale dziś, wyznamy szczerze, że oczekiwanie od prezydenta RP, żeby zeznawał w sprawie opłat za pokój hotelowy wydaje nam się cokolwiek małostkowe. Tak nam się przypomniał Aleksander Kwaśniewski, który zapytany, czy stawi się przed komisją Rywina – badającą zagadnienie potencjalnie większej wagi niż wynajęcie apartamentu – odparł nieco zirytowany: „Ja mogę się stawić, mogę zaśpiewać i zatańczyć, tylko niech pan powie, po co?".

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Marzec 2014 r.

Świętej Felicity

12 marca Daniszewska w swojej zimowej rezydencji w centrum Warszawy wydawała przyjęcie urodzinowe. Zjawił się tłum gości, trafiły się wśród nich osoby umyte i dystyngowane. Lista gości oraz dań są ściśle poufne. Ile lat skończyła Daniszewska, nie podam, gdyż wiek mojej żony to zarazem dziewięciocyfrowy numer jej telefonu komórkowego.

Świętego Jeana

Azor nie lubi kina. Daniszewska i ja byliśmy więc jedynymi na sali widzami filmu braci Coen o pechowym szarpidrucie. Takich bohaterów filmowych jak piosenkarze z gitarą, ale bez wzięcia i uciekające z domu koty jest teraz pełno. Żona i ja zastanawialiśmy się więc, po co akcja tego filmu i wielu innych przenoszona jest o 50 lat wstecz. Podnosi to przecież koszty produkcji filmu, których nie opłacą nasze 38 zł za bilety. Doszliśmy do wniosku, że dawna Ameryka inscenizowana jest po to, aby wszyscy aktorzy i statyści mogli bez przerwy palić papierosy. Wtedy artyści wiedzą, co robić z rękami, a operator ma zadymiony plan filmowy, a lubi tę łatwiznę. Notabene wnuk dostał kamieniem rzuconym na szaniec. Ma 10 lat i trafili go w palec u ręki. Zapewne uciekał z szańca na czworakach. Zuch!

Świętego Lenta

Przed południem radio.

– Za dwie minuty wchodzimy. Co to dziś mamy? O, Ukraina.

– …dzisiaj jest ze mną red. Jerzy Urban. Co pan myśli o Ukrainie?

– Że mądrze było w czasie II wojny pozwolić na odebranie sobie jej polskiej części.

– Ale wejdą czy nie wejdą?

– Już weszli. I cokolwiek Zachód mówi, pogodził się z secesją Krymu.

– Ale czy Putin będzie penetrować głębiej?

– Putin jest mały, ale żwawy. Jak reformy dadzą w dupę Ukrainie, to ukraińscy Rosjanie wpuszczą Putina na wschód i południe kraju.

– Dobrze. Przejdźmy do spraw krajowych. Co tu mamy? Jeszcze Protasiewicz. Czy jest skończony?

– Poczęty. Zyskał międzynarodowy rozgłos i pokazał swoje kwalifikacje językowe: *raus*, *Hände hoch*, *heil Hitler* – starczy to, żeby negocjować z kanclerz Merkel.

– Czy Lasy powinny płacić do budżetu?

– Po to rząd ma lasy, żeby dawały zyski. Bo po co są lasy? Dla grzybów, mrówek i wajraków?

– Co to są wajraki?

– Wilkołaki.

I tak przez pół godziny z przerwą na reklamy.

Świętego Viviena

Gdy Adam Michnik ma katar, Rafał A. Ziemkiewicz bierze aspirynę. Ten autor książki pt. „Michnikowszczyzna" żyje Michnikiem i z Michnika jako jego skrzywiony cień. Ostatnio w czasopiśmie „Do Rzeczy" Ziemkiewicz martwi się na trzech stronach, że „Krytyka zjada Michnika", co znaczy, że „Wyborcza" wpadła pod wpływy Sierakowskiego. „Salon Michnika, mając przećwiczone niszczenie antysalonu prawicy, z Młodym Salonem Sierakowskiego poradzić sobie od początku nie umiał" – czytamy. Wojna salonów o tyle jest mało krwawa, że padają w niej tylko nieliczne zwoje mózgowe Ziemkiewicza. Ten publicysta nie żyje swoim życiem, tylko życiem Michnika. Gdyby wyobrazić sobie świat bez Michnika, byłby to świat bez Ziemkiewicza. Gdy Michnik umrze, jego obsesyjnego antykochanka też wyniosą w trumnie. Ziemkiewicz w swej istocie jest nowotworem złośliwym p. Michnika.

Świętej Rosiny

O godz. 19.00, kiedy rytualnie oglądam „Fakty" TVN, Azor przychodzi, żeby go głaskać. Ostatnio muszę go głaskać przez całą Ukrainę.

Świętego Rodriga

Czytam teraz barwną książkę Douglasa Smitha „Skazani" – opowieść o tym, jak bolszewicy lub emigracja wykończyły carską arystokrację. Z tej książki: emigrant przedstawia się w Paryżu „Trubeckoj, były książę". Na to rozmówca: „czyż można być byłym pudlem?".

Przed II wojną w moim dzieciństwie wożono mnie samochodem dziadka. Pamiętam, że szofer odgrodzony był szybą, jako kierunkowskazy wyskakiwały oświetlone strzałki, a nad tylną kanapą wisiały plecione uchwyty. Z autem tym byłem bardzo związany, bo kiedy rodzice chcieli mnie się pozbyć, szofer sadzał mnie za kierownicą, a ja trąbiłem i godzinami się bawiłem, udając, że prowadzę samochód.

Z książki Smitha wynika, że taką samą landarą jak mój dziadek, czyli autem marki Delaunay, jeździł car Mikołaj II. Po nim samochód przejął Lenin jako szef rządu. Pewnego wieczoru w Piotrogrodzie Leninowi zagrodzili drogę bandyci z pistoletami, kazali wysiąść jemu i jego szoferowi, zabrali wóz i tyle go kto widział. Szef rządu nie miał bowiem jeszcze żadnej ochrony.

Świętej Justyny

Azor zna słowa: spacer, obiad, stul pysk. Daniszewska o pięć więcej, ale są nie do zacytowania. Wyrażają daleko posunięty gender.

Świętego Samuela

Do red. Tadeusza M. Płużańskiego z „Super Expressu": Szanowny Panie Redaktorze! Uprzejmie proszę o dopisanie mnie do Pana listy 10 największych katów narodu polskiego. Nie ze swojej winy byłem za Stalina zbyt młody, aby pracować w organach bezpieczeństwa, jednakże ideowo je wspierałem, a donosząc na przyjaciół, próbowałem dostarczyć im ofiar. Czuję się więc niedoceniony przez Pana, tym bardziej że jestem stuprocentowo żydowskiego pochodzenia i nie mam w sobie ani kropli aryjskiej posoki. Z góry dziękuję. Jerzy Urban.

❏

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Przemysław Czarnek** zadeklarował, że zdemontuje ze swojego dachu panele fotowoltaiczne. Paneli nie wystarczy zdemontować, trzeba je jeszcze spalić w ogródku!
- **Portal fronda.pl** alarmuje o germanizacji katolicyzmu w Polsce. Fajnie, teraz pielgrzymi będą poruszać się Mercedesami.
- **Melania Trump** zapewniła, że USA solidaryzują się ze wszystkimi dziećmi na świecie. Najbardziej z tymi małymi psycholami, które terroryzują inne dzieciaczki.
- **Fronda.pl** przypomina, że przysmakiem Jana Pawła II były ziemniaki ze zsiadłym mlekiem. Mieszkańców Wadowic może załamać ta wiadomość.
- **Para prezydencka** adoptowała psa Yukiego. A pies im mordy lizał!
- **Radosław Sikorski** powiedział, że Czarnek byłby dobrym premierem Afganistanu. Wreszcie talibowie przekonają się, co to znaczy radykalizm.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Wynagrodzenie konkursowe

Znajomy zatrudnił się w jednym z zagranicznych sklepów wielkopowierzchniowych do rozkładania towarów i stał się świadkiem różnych nieprawidłowości. Został zatrudniony na umowie zlecenie, choć praca, którą wykonuje, spełnia wszelkie znamiona etatu. Te markety korzystają z firm pośredników w procesie zatrudnienia, żeby umywać ręce od odpowiedzialności za pracowników. (...) Ludzie ci powinni być rozliczani za przepracowane godziny, ale tutaj wychodzą na jaw pewne machlojki finansowe, aby zaoszczędzić na składkach i podatkach. Załoga rozliczana jest przez system konkursów, które w teorii miały być dobrowolne, ale stanowią większość otrzymywanej płacy. Kolega zwrócił się w tej sprawie do przedstawicieli firmy, aby uregulować zgodnie z prawem stosowne należności, ale spotkał się z oporem. (...) To jest przekręt o dużej skali dotykający masy ludzi (...). Stratni są z tego powodu pracownicy, skarb państwa, system ubezpieczeń społecznych. Mało kto występuje w obronie swoich interesów, co utrwala te praktyki. Znajomy jest jedynym w tym sklepie, który podjął działania. Potrzebuje jakiegoś wsparcia w walce z kapitalistyczną machiną, dlatego chciałem zainteresować tym tematem redakcję.

Czytelnik

Marzenia są zawsze bez wad

Mam marzenie o mojej innej, lepszej, normalnej Polsce. Jaka ona miałaby być? Jako że jestem ateistą, to przede wszystkim powinien być całkowity rozdział państwa od Kościoła, czyli świeckie państwo. Religia katolicka musi być wyprowadzona ze szkół. Katolicy powinni powinni płacić podatek wyznaniowy, a państwo nie może łożyć na Kościół ani jednej złotówki. Krzyże powinny zniknąć z przestrzeni publicznej, czyli z urzędów, szpitali, szkół, aby nie powodować napięć społecznych. Dlaczego my, ateiści, mamy być narażeni na jego widok, gdy w całej historii ludzkości doznaliśmy od niego wielu cierpień i mordów? (...) Powinien być wprowadzony zakaz nielegalnych przesłuchań ludzi w konfesjonałach, szczególnie chodzi tu o niewinne dzieci.

(…) Księża powinni mieć możliwość legalnego uprawiania seksu i żenienia się z kobietą lub mężczyzną. Kobieta też powinna móc zostać księdzem. Prawa osób LGBT muszą być przestrzegane i szanowane. (...)

Handel bogiem powinien działać na zasadach działalności gospodarczej. Nie masz wyznawców, to plajtujesz. Proste. No i najważniejsze: trzeba wypowiedzieć umowę konkordatu z Watykanem. Dość dyktatu konkordatu. Polska musi być wolnym i niezależnym krajem.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

eprasa.pl 69f3f167e1

Dylemat kasiarza

Który SEJF otworzyć?

W politycznej piaskownicy trwa narodowa przepychanka o to, które wiaderko jest fajniejsze i czyja wywrotka ma dosypać piachu do wspólnej kupy. Patrzysz na to i widzisz oszołomionych emocjami harcowników zwaśnionych stron, którzy okładają się łopatkami idiotycznych argumentów po rozgrzanych głowach. Dziecinada. Żenada. Niby kolejny odcinek spektaklu pod tytułem POPiS – obecnie KOPiS – ale przecież gdzieś obok wciąż istnieją obiektywne dane, racjonalne argumenty i dyskusja, która nie polega na wrzasku, tylko na próbie zrozumienia czegokolwiek.

Spróbujmy więc zająć pozycję dorosłego obserwatora i, owszem, czułego narratora, żeby sprawdzić, jak jest. Odłóżmy na bok rozważania, czy będzie wojna, czy nie, i jaki sens mają zbrojenia – choć trudno nie martwić się militaryzacją odbywającą się kosztem obywateli; ale dziś nie o tym. Pomińmy też wątpliwości, czy nasi generałowie kupują mądrze to, co trzeba, czy raczej zbyt drogi amerykański shit. Nie grzebmy się w politycznych zagrywkach dzieciaków, które i tak już przemieliła medialna burza. Zajmijmy się twardymi finansowymi skutkami i ryzykami związanymi z pożyczką SAFE-EU oraz koncepcją SAFE-RP.

Podobno jak dają, to trzeba brać. Ale jak biją albo, hm, pożyczają, to raczej uciekać. Tę ludową mądrość wykorzystali prezydent Karol Nawrocki i prezes NBP Adam Glapiński, ogłaszając ludowi, że tylko oni myślą o interesie Polaka.

Trochę faktów

Rezerwa walutowa Polski, ulokowana w NBP, to – według aktualnych wartości dewiz – ok. 1,1 bln zł. To spora poduszka bezpieczeństwa. Złoto stanowi w niej 31 proc.; ponad 340 mld zł. Kredyt SAFE-EU to z kolei 43,7 mld euro, czyli około 187 mld zł, możliwych do spłaty w ciągu 45 lat, z 10-letnią karencją. Średnie oprocentowanie tego kredytu szacowane jest na 3,75 proc. rocznie.

Kredyt – jasna sprawa. Ale jakim cudem nagle do rządu miałaby spłynąć kasa z NBP? Tu trzeba przypomnieć, że NBP ma konstytucyjny zakaz przekazywania swoich funduszy na finansowanie wydatków rządu. Jedyne, co może przekazać, to do 95 proc. swojego zysku. Ktoś powie: „możemy zmniejszyć rezerwy", bo ich redukcja nie zagrozi bezpieczeństwu finansowemu. Tyle że pomysłodawcom SAFE-RP nie o to chodzi. Glapiński zapowiedział, że ta możliwość nie wchodzi w grę. A zatem prawdopodobne jest jedno z dwóch rozwiązań.

Pierwsze to popis kreatywności księgowej – papierowy zysk ze złota – który dla swojej legalności raczej wymagałby zmiany ustawowej. NBP skupował złoto po cenach niższych od dzisiejszych, więc powstał teoretyczny „papierowy zysk". Prezes NBP prawdopodobnie zakłada, że mógłby sprzedać złoto po bieżącej cenie i natychmiast kupić je za tę samą kwotę. Złoto zostałoby tam, gdzie jest, ale księgowo oznaczałoby to „realizację zysku". Wtedy NBP mógłby przekazać do budżetu, zgodnie z ustawą, 95 proc. tego zysku. Szacunkowo mogłoby to być nawet około 200 mld zł, czyli mniej więcej tyle, ile rząd chce pozyskać przez kredyt SAFE-EU.

Drugie rozwiązanie to powtórzenie numeru, który z PiS-em wykonali w trakcie pandemii COVID-19, czyli użycie „mechanizmu trójkąta: rząd–banki–NBP". Jak wspomniałam, art. 220 konstytucji zabrania NBP finansowania deficytu budżetowego, czyli kupowania obligacji prosto od Ministerstwa Finansów. Żeby to obejść, stworzono pośredników. Rząd zlecił finansowanie podmiotom zewnętrznym – głównie BGK i PFR. Te emitowały obligacje gwarantowane przez skarb państwa, z których pieniądze szły na tzw. tarcze. Obligacje kupowały banki komercyjne, a potem NBP odkupywał je od banków, czyli tworzył nowe pieniądze. Mówiąc krócej: rząd emitował obligacje, które przez pośredników skupywał NBP, drukując pieniądz, a banki komercyjne dostawały tani kredyt refinansujący na zakup kolejnych obligacji. Taki mechanizm mógłby zadziałać także teraz, dla utworzenia pieniędzy na SAFE-RP zwany 0 proc. i realizacji zamiaru prezydenta.

SAFE-EU

Poważny plus to efekt antyinflacyjny. A to dlatego, że ponad 70 proc. kredytu ma być wydane jako import dewizowy, więc podaż złotego na rynek wewnętrzny będzie niewielka. Skoro państwo będzie posiadać euro z pożyczki, nie musi ich kupować na polskim rynku za złotówki. To oznacza mniejszy popyt na waluty obce w kraju. Dzięki temu złoty pozostanie silny. A silna waluta to tańsze paliwo na stacjach i tańsza energia, co obniża koszty transportu i produkcji wszystkich towarów w Polsce.

To jednak kredyt. A każdy kredyt trzeba oddać z odsetkami. Ten ma być relatywnie nisko oprocentowany, dlatego jego zwolennicy określają go jako najtańsze finansowanie dostępne obecnie na rynku. Ma też bardzo długi okres spłaty, a karencja w spłacie kapitału pozwala rozmyć koszty w czasie. Ale tu pojawia się zagadnienie zmian kursu złotego i euro oraz wysokości stóp procentowych w strefie euro. To może drastycznie podnieść – albo obniżyć – realny koszt pożyczki w przyszłości. Niestety, podniesienie wydaje się bardziej realne.

Dodatkowo SAFE-EU ma w sobie mechanizm warunkowości. Wypłata pieniędzy jest uzależniona od oceny praworządności, co daje Brukseli narzędzie nacisku politycznego i pozwala zablokować pieniądze – podobnie (choć nie tak samo) jak przy KPO. Trzeba jednak zauważyć, że znaczna część pieniędzy zostałaby wypłacona szybko – a tego, co rząd ma już w garści, nie odbiera się tak łatwo.

Problemem SAFE-EU jest też fakt, że Polska musi zdecydować o przeznaczeniu środków bardzo szybko – do maja 2026 r. To zwiększa ryzyko nieprzemyślanych i po prostu zbyt drogich zakupów pod presją czasu. Widząc piaskownicę pełną generałów zakochanych w abstrakcyjnie drogich Abramsach i F-35, odczuwam niejakie obawy.

Trzeba jednak zauważyć, że większość pożyczonych pieniędzy musi zostać wydana na produkty wytworzone w Polsce i innych krajach UE – i chwała bogu. To nie przeszkadza innym zakupom poza tym kredytem. Tyle że wtedy apetyty militarne rosną. Rosną naszym kosztem.

Krytycy postrzegają SAFE-EU jako formę „oddawania suwerenności Brukseli" i uzależniania polskiej polityki obronnej od decyzji unijnych urzędników oraz interesów państw takich jak Niemcy. Mnie ta krytyka jakoś nie przekonuje. Niestety, jednak większość euro – około 70 proc. – trafi do zagranicznych koncernów zbrojeniowych, co nie przyczyni się nadmiernie do budowy realnych, suwerennych zdolności produkcyjnych polskiego przemysłu obronnego. Pytanie tylko, czy wynika to z charakteru tego kredytu, czy raczej z konieczności albo decyzji naszych generałów i polityków.

SAFE-RP

Zarówno operacje NBP, polegające na przeksięgowaniu rezerw złota kupionego taniej, a wycenianego dziś znacznie drożej, jak i działania w ramach „mechanizmu trójkąta" prowadzą do tego samego efektu: druku pieniądza, czyli emisji nowych złotych.

To w obecnej sytuacji Polski byłoby silnym czynnikiem proinflacyjnym i miałoby wpływ na kurs walutowy, bo państwo, wychodząc na rynek walutowy, musiałoby sprzedać ogromne ilości złotówek, kupując euro. Nawet jeśli te pieniądze fizycznie wyjadą z kraju, sam mechanizm ich wymiany sprawi, że złoty straci na wartości. Wtedy zapłacimy więcej za litr benzyny. Wszystkie towary importowane – elektronika, owoce, części zamienne – zdrożeją. Czyli mamy klasyczny import inflacji. Mimo że pieniądz fizycznie trafi do państw UE, jego kreacja osłabi siłę nabywczą portfeli w Polsce.

Z drugiej strony prezydencko-glapiński cud może pozwolić wygenerować nawet 200 mld zł na zbrojenia bez konieczności pytania kogokolwiek o zgodę, bez kredytu. Można by to zrobić nieomal od ręki, pod warunkiem że po zmianie ustawowej szybko zostanie przyjęty i zweryfikowany bilans NBP. Bo inaczej dopiero potem środki mogłyby być transferowane do budżetu.

Sporą zaletą jest brak odsetek i ryzyka kursowego. SAFE-RP, wolny od mechanizmu warunkowości, jest także korzystniejszy z punktu widzenia niezależności politycznej.

Możliwości wykreowania na potrzeby rządu funduszy złotowych przez rozsądnie działające państwo jest więcej. Wymaga to jednak zmian ustawowych, a zatem porozumienia zwaśnionych politycznych stronnictw. Prof. Grzegorz Kołodko twierdzi na przykład, że taką możliwością jest „odrzucenie tabu zakazu finansowania deficytu budżetowego przez bank centralny pod warunkiem, że taka operacja byłaby ściśle kontrolowana przez tenże bank pod kątem wpływu na inflację". To byłoby moim zdaniem dobre docelowe rozwiązanie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wiele podobnych możliwości mógłby stworzyć parlament, gdyby nie był sparaliżowany politycznym sporem.

W ostatni wtorek odbyło się spotkanie prezydenta i premiera ze swymi świtami. Optymiści (nie ja) żywili nadzieję, że w piaskownicy nastanie jakieś porozumienie. Niestety, płonne.

Tusk nic nie zrozumiał albo udawał, że nie kuma tego manewru księgowego na złocie. Uparcie pytał: „gdzie są te pieniądze?". Nie chciał lub nie mógł zrozumieć, że potrzebna jest drobna szybka ustawa zatwierdzająca bilans NBP, aby pieniądze się pojawiły. Prezydent trzyma się swoich opcji. Jeszcze przed spotkaniem złożył swoją ustawę w parlamencie i zapowiedział, że jego podpisu pod kredytem SAFE-EU nie będzie. O merytorycznej dyskusji nie było mowy.

Spojrzenie okiem MMT

A teraz my, dorośli ludzie, usiądźmy na brzegu tej piaskownicy i popatrzmy na ten narodowy spór o SEJF. Zapytajmy: jak spojrzeliby na to twórcy Modern Monetary Theory, tacy jak Warren Mosler czy Stephanie Kelton?

Prawdopodobnie z mieszanką rozbawienia i niedowierzania. Dla nich cała ta dyskusja o „szukaniu pieniędzy" w złocie czy unijnych pożyczkach jest próbą rozwiązania problemu, który w świecie suwerennej waluty, jaką jest polski złoty, po prostu nie istnieje.

Pieniądz nie jest towarem, tylko narzędziem. Państwo polskie jako monopolista we własnej walucie, nie musi „znaleźć" złotówek, żeby je wydać. Ono je może tworzyć w momencie naciśnięcia klawisza „enter" w NBP. Dlatego spór o to, czy zysk ze złota jest „prawdziwy", czy „papierowy", z punktu widzenia MMT jest stratą czasu. Złoto to tylko ozdoba w bilansie. Prawdziwą siłą jest zdolność państwa do mobilizacji zasobów – mocy wytwórczych, stali, fabryk i ludzi – za pomocą narzędzia własnej waluty. Jeśli kraj, który ma własną walutę, pożycza obcą, to właśnie tak suwerenne państwo może realnie zbankrutować. To pułapka.

Pożyczając w euro, dobrowolnie rezygnujemy z części suwerenności, uzależniając bezpieczeństwo kraju od dostępności waluty, której nie kontrolujemy i której nie możemy sobie po prostu „stworzyć" w razie kryzysu. Inflacja jest jedynym realnym strażnikiem. MMT uczy, że

ograniczeniem wydatków nie jest stan konta w NBP, ale moce przerobowe gospodarki. Jeśli wydamy 200 mld zł, nieważne skąd wziętych, na czołgi, amunicję czy drony – a w kraju zabraknie inżynierów i stali albo zawali się publiczna ochrona zdrowia – ceny wystrzelą.

Ale z drugiej strony, jeśli te pieniądze wypłyną za granicę na import, jak w SAFE-EU, to impuls inflacyjny wewnątrz kraju będzie minimalny. Prawdziwym wyzwaniem nie jest więc to, skąd wziąć kasę, tylko jak zarządzać kursem walutowym i popytem, żeby zbrojenia nie zjadły nam chleba. Tylko wątpię, czy w naszej piaskownicy jest komu o tym poważnie dyskutować.

Z tej perspektywy wybór między SAFE-EU a SAFE-RP nie jest wyborem między „rozsądkiem" a „szaleństwem". To wybór między byciem klientem w cudzym banku, czyli w UE, a byciem gospodarzem we własnym domu, czyli w NBP. Ale w sytuacji, kiedy nie ma jasności, jaki grozi nam poziom inflacji – bo nikt tego porządnie nie zbadał, analizując dostępne i realne siły wytwórcze – nie sposób dać jednoznacznej odpowiedzi. Istnieje ryzyko wyzwolenia inflacji lub poniesienia kosztów „sterylizacji pieniądza", czyli włączenia kosztownych hamulców antyinflacyjnych.

Ekonomiści MMT powiedzieliby nam krótko: przestańcie zaglądać do sejfu, bo on zawsze jest pełen cyferek. Zmieńcie prawo na suwerenne i zacznijcie patrzeć, czy macie dość ludzi i fabryk, by te cyferki zamienić w realną siłę. Zbadajcie to! Bo w świecie suwerennego pieniądza jedynym prawdziwym deficytem, którego naprawdę powinniśmy się bać, jest nadmiar neoliberalnej ideologii oraz deficyt rozumu i odwagi w korzystaniu z własnych narzędzi i deficyt wyobraźni.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 69f3f167e1

Po co nam kasa na zbrojenia?

Rys. MARCIN CHUDZIK

Strzykawki zamiast armat

Co za różnica, czy starzejące się społeczeństwo będzie wymierać pod butem wrogiej przemocy, czy zdychać w kolejkach do permanentnie niewydolnej opieki zdrowotnej lub mrzeć na głodowych emeryturach?

Ostatnio rzadko przychodzi nam chwalić wodzów lewicy, ale tym razem nie możemy się powstrzymać. Marszałek sejmu Włodzimierz Czarzasty podczas briefingu 5 marca objawił społeczną wrażliwość i rozsądek. I mówimy to bez cienia ironii. Wkraczając między skłóconych przez stosunek do programu SAFE rząd oraz prezydenta, zaproponował, by nie zastanawiać się, czy brać unijny kredyt na zbrojenia (jak chce rząd), czy finansować te zbrojenia z kasy wygospodarowanej przez Narodowy Bank Polski (jak chce prezydent), tylko klepnąć unijną pożyczkę na rozbudowę arsenału, a pieniądze z NBP przeznaczyć na ochronę zdrowia.

Szef Nowej Lewicy wykazał się dużo większym zrozumieniem tego, co dzieje się w naszym państwie i co jego lud myśli o koalicji rządzącej niż np. inny koalicyjny boss, wicepremier i minister wojny w jednym. Władysław Kosiniak-Kamysz bowiem, odnosząc się w telewizji Polsat News do prezydenckiego pomysłu finansowania zbrojeń z pieniędzy NBP, wyznał, że całą kasę chciałby zagarnąć na zakup wojennych zabawek. I tę z unijnego kredytu, i tę z NBP.

Propozycja Czarzastego jest prospołeczna i dalekowzroczna, czego nie można powiedzieć o stanowisku Kosiniaka-Kamysza. Jeżeli bowiem państwo, to państwo, nie postąpi tak, jak proponuje marszałek sejmu, to nie ma żadnego sensu, by brało unijny kredyt na zbrojenia. Każde państwo, jeżeli wydaje kasę na zakupy dla armii, robi to po to, by chronić szeroko rozumiany dobrostan swoich obywateli. Państwo, które robi wszystko, by na każdym kroku ów dobrostan rujnować, nie musi ponosić żadnych wydatków na obronność. Bo po co?

Dla zdychających żadna. Dla rządzących też żadna, bo w razie zagrożenia wojną oni jako jedyni wraz z garstką najbogatszych „pciembiorców" zdążą uciec stąd w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Zadłużanie państwa na lata, żeby kupić trochę gadżetów żołnierzykom dużego chłopca, który nie wyrósł jeszcze z dziecięcych zabaw, mija się więc z jakimkolwiek zdrowym rozsądkiem.

Jeżeli my, obywatele, mamy przez lata spłacać kredyt na budowanie potęgi naszej armii, to zapewne wszyscy wolelibyśmy robić to w godziwych warunkach życia. Bez trwania w rozpisanych na miesiące i lata kolejkach po byle poradę medyczną, na pensjach i emeryturach dających coś więcej niż smutną wegetację, w miejscach pracy, w których pracownik jest podmiotem, a nie przedmiotem, w państwie partnerskim i opiekuńczym, a nie kontrolująco-opresyjnym na każdym kroku. Jeśli to państwo nie jest w stanie nam tego zapewnić, to po kiego grzyba mu te miliardy na armaty? Wygląda na to, że szef Nowej Lewicy tę prawdę już pojął. Pozostali bohaterowie koalicji – jeszcze nie.

EDYTA BAKER

Ostatnie namaszczenie prezesa

GADMAN

Jarosław Kaczyński jest dla prawicy przeszkodą w powrocie do władzy

Namaszczając Przemysława Czarnka na premiera, prezes Kaczyński zagrał na czas. Przemysław Czarnek ma w liberalnych mediach opinię twardogłowca, skrajnego prawicowca, katolickiego ultrasa, wroga wszystkiego, co lewicowe i liberalne. Oraz odrażającego typa i złodzieja publicznej kasy też.

Za to w PiS-ie postrzegany jest jako swój chłop. Fajny koleś, szarmancki wobec niewiast, dusza towarzystwa. Wesołek sypiący kawałami jak z cekaemu. Są to zwykle żarty o „czterech pancernych i psiecku", półbabach i półchłopach, głupolach Niemcach i innych lewakach. O wszystkim, co dziś śmieszy narodowo-katolickich patriotów. Czasem do łez.

Czarnek zna swoje miejsce w PiS-ie i nie zawahał się go ujawniać. „Mam być maszynistą w tym pociągu, ale kierownikiem pociągu jest i będzie pan prezes Jarosław Kaczyński" – zadeklarował. Potwierdził tym, że nie myśli teraz o grach o przywództwo po Kaczyńskim, tak powszechnych w PiS. Chce być jego wiernym żołnierzem. I od tej pory każdą rękę podniesioną na prezesa jego wierny maszynista odrąbie albo przynajmniej obsika. W mediach rzecz jasna.

Rozłam odłożony

Namaszczenie Czarnka zapobiegło rozłamowi wiszącemu już nad PiS-em. Gdyby prezes Kaczyński namaścił polityka z frakcji „maślarzy", od razu przyśpieszyłby secesję frakcji „harcerzy" Mateusza Morawieckiego. Gdyby padło na polityka od „harcerzy", to cwani „maślarze" pozostaliby formalnie w PiS. Ale stworzyliby w partii Kaczyńskiego swą „partię wewnętrzną", która dalej knułaby przeciwko swym konkurentom.

Gdyby prezes wyciągnął z kapelusza Lucjusza Nadbereżnego, kolejne swe „odkrycie towarzyskie", miałby w PiS-ie przeciw sobie knujących „maślarzy" i czekających na sygnał do secesji „harcerzy". Gdyby już teraz wskazał na Zbigniewa Boguckiego, szefa Kancelarii Prezydenta Karola Nawrockiego, przyśpieszyłby wojenkę z nadal popularnym, młodszym od niego prezydentem. Z góry przegraną przez prezesa.

Za to namaszczenie Czarnka, ulubieńca partyjnych dołów, działacza potrafiącego dogadywać się z każdym po prawej stronie Polski, wytrąca prosecesyjne argumenty Morawieckiego i zmusza „maślarzy" do ograniczonego, konspiracyjnego knujstwa. Bo namaszczony Czarnek to nadzieja na szybkie ożywienie polityczne PiS-u i powrót partii Kaczyńskiego do koncertu krajowych mocarstw politycznych.

Bądźcie z nami!

Namaszczony Czarnek, uważany przez prezesa za „wyjątkowo utalentowanego człowieka", ma pilne zadanie przywrócenie poparcia wyborczego PiS-u do poziomu przynajmniej 30 proc. Pod nie skrojono krakowskie przemówienie świeżo namaszczonego „premiera". I choć do wyborów parlamentarnych zostało jeszcze 20 miesięcy, to dnia następnego, już jako „premier", ruszył Czarnek na Lubelszczyznę.

Zaczął „prekampanię" od spotkań z aktywem i sympatykami na własnym terenie, gdzie czuje się najbezpieczniej. Gdzie można przetestować wyborcze wabiki, rozgrzać się przed bojem na wrogich terytoriach. Niebawem Czarnek i jego ekipa planują spotkanie ze sprzyjającymi im komentatorami z platform społecznościowych, a potem ruszają w długi objazd całego kraju. Chcą wykorzystać doświadczenia z kampanii wyborczych Dudy i Nawrockiego. Ma być tam więcej radykalnych haseł i wywołujących emocje konfliktów skrojonych pod algorytmy platform społecznościowych.

Będzie też kontent programowy. Za niego odpowiadać mają ekipy Piotra Glińskiego i Mateusza Morawieckiego. Dzień przed namaszczeniem Czarnka były premier Morawiecki zaprezentował wraz z Marcinem Horałą raport „Powered by Poland – Strategia dla nowoczesnej". Prezes Kaczyński dał mu swój imprimatur. Dlatego Morawiecki zrezygnował z walki o rolę maszynisty pociągu do władzy PiS-u, godząc się z rolą planisty i sygnalisty. Przynajmniej na razie.

Jego konkurent, eurodeputowany „maślarz" Patryk Jaki został skierowany na odcinek nauki. Ma organizować spotkania prominentów PiS-u na uczelniach wyższych. Bo elity partii znowu chcą narzucać ton debacie politycznej, skupić na sobie uwagę opinii publicznej.

Namaszczając dynamicznego, ale wielce radykalnego Czarnka, prezes PiS-u rezygnuje teraz z walki o wyborców politycznego centrum. Chce zdominować prawą stronę Polski. Jego PiS ma być tam liderem, któremu nie zagrożą zmarginalizowane przez Czarnka Konfederacja i Konfederacja Korony Polskiej. Bo Czarnek dowiódł, że potrafi być bardziej konfederacki niż konkurencyjne Konfederacje – nawet Konfederacja Brauna.

Zapewne podczas objazdu Polski będzie Czarnek chciał konfederackich liderów skompromi-

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zabawną ma czapkę – prezydent nigdy takiej nie widział, chyba że w książeczkach dla dzieci. I różdżkę – jak jakiś czarownik albo mag. Mówi też jakoś dziwnie jak na prezesa banku centralnego: mamrocze w zagranicznym języku, ale nie po angielsku, bo angielski prezydent akurat zna.

– Przyniosłeś ołów? – pyta Glapiński po polsku, a prezydent kiwa głową, chociaż wciąż się dziwi, po co Glapińskiemu ołów.

– Ołów srołów – śmieje się prezes banku, powtarzając dowcip spopularyzowany ostatnio w prawicowej elicie przez Czarnka.

Nie bez wysiłku bierze pięciokilową sztabę ołowiu, posypuje ją czerwonawym proszkiem i mruczy zaklęcie w egzotycznym języku.

– To jest ołów – przechodzi na polski Glapiński, żeby prezydent rozumiał, co się dzieje. – Za pomocą tego kamienia – wskazuje na proszek – zabieram z jądra ołowiu trzy protony, czary-mary, i w ten prosty sposób, hokus-pokus, uzyskuję nic innego jak złoto, abrakadabra, w przeczystej postaci.

– Voilà – kończy prezes banku centralnego po francusku, co prezydent wie, bo zna to słowo, chociaż po francusku na ogół nie mówi.

Ołów, jak był ołowiem, tak nim jest.

– Teraz sprzedam to złoto na wolnym rynku, a ty będziesz miał swój sejf peel zero procent – mówi Glapiński, a prezydentowi wymyka się z ust Czarnkowy bon mot: – Sejf srejf.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Narodowy Fundusz Zagłady

NFZ ma pomysł na oszczędności i idzie na zwarcie z własną misją

Z racji opiewającej na 26 mld zł dziury w systemie ochrony zdrowia prezes NFZ Filip Nowak przedstawił pomysł na racjonalizację wydatków krajowego sektora medycznego. Projekt na dniach ma trafić do konsultacji z Ministerstwem Zdrowia, ale już marszczy dupy – nie tylko pacjentów. Z obserwacji Nowaka wynika, że „ogromny wysiłek finansowy przynosi umiarkowany wzrost liczby świadczeń", czyli nie zwiększa dostępności diagnostyki. Dzięki projektowanym przez prezesa zmianom dostęp do badań też się nie zwiększy, ale za to będzie taniej.

Kręcenie wora

Koncept NFZ na zwiększenie płynności finansowej w systemie ochrony zdrowia będzie oparty na rewolucji w finansowaniu najdroższych badań diagnostycznych. Tomografia komputerowa, kolonoskopia, rezonans magnetyczny i gastroskopia będą rozliczane w nowy sposób, który – według prezesa Nowaka – może przynieść nawet 800 mln zł zaskórniaków. Jeśli wgryźć się w szczegóły, ma też szansę rozwiązać kolejne problemy: prowincjonalnych szpitali i upierdliwych pacjentów, którzy nie chcą szybko umrzeć.

Wszystkie bonusy kryją się pod powtarzanym przez Nowaka hasłem stawki degresywnej na nadlimity. Wspomniane badania zaliczane są do ambulatoryjnych świadczeń diagnostycznych kosztochłonnych (ASDK) w ramach ambulatoryjnej opieki specjalistycznej (AOS). Aktualnie badania te funkcjonują jako świadczenia nielimitowane. Taki status „usługi" medycznej oznacza, że NFZ ma obowiązek zapłacić za wszystkie wykonane procedury, nawet jeśli przekroczą wartość kontraktu (umowy) z daną placówką. Oznacza to, że każdy pacjent, który potrzebuje szczegółowego przeglądu czaszki albo wsadzenia w dupę kamery, powinien uzyskać pomoc. Lecznica też nie doznaje uszczerbku. Badania wykonane ponad kontrakt są finansowane w pełnej wysokości (100 proc.) przez NFZ, a rozliczane kwartalnie. To, co ma ulżyć pacjentom, boli fundusz. – Możliwe rozwiązania, aby zapanować nad rosnącą falą przekraczania wartości zawartych umów, to powrót do limitów jako najprostsze rozwiązanie. Drugie to utrzymanie nielimitowości ze zmianą sposobu finansowania – wyjaśnił podczas konferencji 5 marca Filip Nowak, mając najwyraźniej tak dziennikarzy, jak i samych pacjentów za durniów. Fundusz proponuje, żeby za świadczenia wykonane ponad limit kontraktu płacić jedynie 40 proc. ich wartości, a pełne rozliczenie nadwykonań rozliczać dopiero na początku kolejnego roku. Jak podkreślił prezes NFZ, „zmiana modelu finansowania może być krytykowana, ale dla pacjentów jest rozwiązaniem

eprasa.pl 69f3f167e1

tować w oczach prawicowych wyborców. A potem zaoferować konfederackim wyborcom dobry, prawicowy, przewidywalny PiS.

Ryzyko z lewa

Namaszczenie Czarnka na twarz PiS-u to jednak wielkie ryzyko. Czarnek ma olbrzymi elektorat negatywny. Nierozliczoną aferę „willa plus”. To ściągnie na niego krytyczną uwagę popularnych liberalnych mediów.

Wyrazistość Czarnka i jego cięty język pomnożą mu nowych wrogów i zmobilizują starych. Jednak tym razem wrogowie Czarnka będą też wrogami całego PiS-u. Wszystkie błędy Czarnka pójdą na konto partii prezesa Kaczyńskiego.

Na pewno aktywność polityczna Czarnka ożywi środowiska lewicowe. Nawet te zniechęcone do lewicy parlamentarnej, postrzegające Nową Lewicę jako miękiszonów sprzedających się za ministerialne stołki, a Partię Razem – jako nieefektywne Smerfy Marudy.

Wyrażające swą niechęć do nich absencją wyborczą, nieaktywnością w czasie kampanii. Wizja powrotu do władzy PiS-u z Czarnkiem jako premierem zapewne zmobilizuje wszystkich lewicowych wyborców i skłoni ich do poparcia obecnej lewicy parlamentarnej. Choć czasem bez entuzjazmu, jako „mniejszego zła”. Podobnie może być wśród wyborców o poglądach liberalnych gospodarczo i obyczajowo, a także proeuropejskich.

Im częściej i głośniej będzie „premier” Czarnek wspominać o polexicie, aby przebić swą radykalnością Konfederatów, tym większe będzie poparcie dla KO wśród kapryśnego inteligenckiego elektoratu. Zwłaszcza wyborców zniesmaczonych skrętem retoryki premiera Tuska na prawo. Teraz na tle retoryki „premiera” Czarnka internetowe wpisy premiera Tuska mogą być postrzegane wręcz jako prawie lewackie.

Namaszczenie Czarnka da czas na organizacyjną robotę nie tylko prezesowi Kaczyńskiemu. Kierowany przez „premiera” Czarnka zwrot na prawo, uwikłanie w boje z konfederatami, pozostawi polskie polityczne centrum dla tuskowego KO i szukających swego miejsca parlamentarzystów Polski 2050 Szymona Hołowni. Już teraz niektórzy z nich stworzyli klub parlamentarny Centrum. Jeśli nie zaistnieje on poza parlamentem, to będzie dobrym pomostem do koalicji wyborczej z KO na jesieni 2027 r.

...i z prawa

Do wyborców centrum odwołają się w wyborach 2027 r. politycy PSL-u i środowiska określające się jako bezpartyjni samorządowcy. Im też sprzyjać będzie prawicowy zwrot PiS-u. Wszystkie sondaże wskazują, że startujący samodzielnie PSL nie ma szans na przekroczenie progu wyborczego. Ludowcy znów szukać będą partnerów do odnowienia swych parlamentarnych mandatów. Marząc, aby znów rządził „ich koalicjant”.

Radykalizm Czarnka, odpychający sympatyków umiarkowanej, spokojnej retorycznie prawicy, może pomóc im w skleceniu takiego wyborczego bloku. Rok 2026 pokaże, czy „premier” Czarnek zwabi wyborców głosujących na Konfederacje i wyborców, którzy ostatnio przestali popierać w sondażach kaczyński PiS.

Zapewne konfederackich wyborców do PiS-u nie przekona, bo pomimo czarnkowych talentów zawsze będzie on jedynie podróbką konfederaty. Za to radykalizm i wigor „premiera” Czarnka pomogą PiS-owi odzyskać grupę wyborców zniechęconych marazmem tej partii i walkami frakcyjnymi. Podwyższy notowania przedwyborcze partii Kaczyńskiego. Jednak nie na tyle, aby prezes Kaczyński miał szanse na samodzielne rządy. W roku 2027 jedynie prawicowa koalicja – czyli PiS plus Konfederacje – będzie miała szansę na rządy. Zwłaszcza kiedy do gry wejdzie prezydent Nawrocki, otoczy swym patronatem.

Wtedy prezes Kaczyński będzie musiał zmienić maszynistę swego pociągu, bo Czarnek walczący z konfederatami nie będzie mógł być twarzą takiej koalicji. W roku 2027 na prawej stronie sceny politycznej zostanie namaszczony nowy, już koalicyjny przyszły „premier”. Uczyni to już nie prezes Kaczyński, lecz prezydent Nawrocki. Bo to prezes Kaczyński jest podstawową przeszkodą dla przyszłej koalicji, dla powrotu prawicy i PiS-u do władzy.

Namaszczając Czarnka na przyszłego premiera, prezes Kaczyński dał sobie chwilę spokoju, ale też polityczny wiatyk.

PIOTR GADZINOWSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Polemizuję z optymizmem Gadzinowskiego

Epoka czarnkocenu

Rozważając skutki namaszczenia Czarnka na maszynistę prezesa, red. Gadzinowski zdaje się demonstrować nietypowy dla siebie optymizm. Sugeruje, że Czarnek będzie tak obrzydliwy, iż lewicy samo urośnie, bez żadnych wysiłków z jej strony; mało tego – że nawet paskudność prawackiego zwrotu Tuska nieco zelżeje na tym tle. Zgadzając się ze wstępnym założeniem – że Czarnek jest obrzydliwy – pozwolę sobie polemizować z konkluzjami. Owszem – przesunięcie na prawo, jakie symbolizuje Czarnek, może być szansą dla lewicy. Ale będzie to od niej wymagać odwagi i pracy.

Swój marsz do premierostwa Przemysław Czarnek rozpoczął na konwencji PiS w hali „Sokoła” w Krakowie słynnym już zdaniem: „Ja mam być maszynistą w tym pociągu, ale kierownikiem pociągu jest i będzie pan prezes Jarosław Kaczyński”… Trwający ponad godzinę monolog faceta, którego prezes nazywa profesorem (choć przez 10 lat od habilitacji Duda nie dał mu tytułu profesorskiego; ciekawe dlaczego) był przesycony prostactwem w sposób, który każe zapytać: jak głęboko PiS pogardza własnymi wyborcami?

Te wszystkie dowcipasy – OZE-sroze, półbaby i ćwierćchłopy, czterej pancerni i psiecko; okrzyki na temat dziadostwa i że „nogi nie odstawiamy” (musiałam sprawdzić: to metafora futbolowa) i na koniec jeszcze gromkie „Sto lat” dla Marty Nawrockiej odśpiewane do mikrofonu – cała ta ludyczność niskiej klasy duszę konserwatysty obraża zapewne bardziej niż duszę lewaka. I wcale nie jestem pewna, czy jest dobrze obliczona na trafianie do pisowskiego elektoratu. Który, owszem, uważa, że chłop to musi być chłop, a nie trok od kaleson – ale lubi też poważać władzę. Przaśna swojskość Czarnka jest chyba posunięta o krok za daleko – co może stać na drodze do poważania.

To wszakże mniej ważne – i w sumie nie nasz problem.

To, co mnie naprawdę interesuje – to pytanie, jak epoka czarnkocenu wpłynie na pozycję lewicy na scenie politycznej. Chodzi mi tu o lewicę szeroko pojętą: Nową Lewicę, Razem, PPS, Unię Pracy, Nową Falę Joanny Senyszyn… Myślę sobie, że władza nad lewicowymi duszami leży dziś na ulicy i pytanie w istocie rzeczy brzmi: kto się po nią schyli.

Oczywiście – prymitywny patriarchalny mizoginizm Czarnka, jego koncepcja roli kobiety w społeczeństwie, może działać na rzecz lewicy kulturowej, nieco ośmieszonej swoim zażartym bojem o feministyczną poprawność. Fakt, że resort Agnieszki Dziemianowicz-Bąk zakazał szukać spawaczy – ma być „osoba spawająca” – staje się nieco mniej śmieszny, kiedy kandydatem na premiera jest facet, który opowiadał o „śmiertelnym żniwie feminizmu”, polegającym na tym, że kobieta słyszy „ucz się, rób karierę” i dlatego sądzi, że „nie musi robić tego, do czego została przez pana boga powołana”. (Choć warto odnotować, że na tym odcinku Czarnkowi zmiękła rura: w sobotę mówił o „bezpieczeństwie zawodowym” i „możliwości rozwoju kariery zawodowej” kobiet). I tak, rzeczywiście, dla jakiejś części wyborców – a zwłaszcza wyborczyń – poruszonych antypisowsko przez antyaborcyjny wyrok Trybunału Przyłębskiej, Czarnek może być naturalnym motywatorem.

Z drugiej strony – nie sądzę, żeby to wystarczyło. Akurat ta grupa ma szczególne prawo czuć się gorzko rozczarowana obecną władzą, która nie podjęła ani próby rzeczywistej liberalizacji prawa, ani nawet przywrócenia – za przeproszeniem – kompromisu aborcyjnego. Być może gdyby koalicja mogła się wylegitymować choćby odrzuconą przez prezydenta ustawą o świadomym rodzicielstwie – byłby to argument na rzecz tego, że jest lepsza od PiS. W obecnym stanie jakoś tego nie widzę.

Podobno czołowym zadaniem Czarnka ma być zepchnięcie pod próg nie Konfederacji Mentzena – to jest oceniane jako mało prawdopodobne – ale wyrosłego ostatnio Brauna. Te 7–10 punktów Korony bardzo przydałoby się prezesowi Kaczyńskiemu w jego pogoni za Tuskiem.

Niewątpliwym ukłonem pod adresem zwolenników Korony była bardzo wyrazista antyukraińskość wystąpienia Czarnka – hasło „żądamy szacunku od pana Zełenskiego”, krytyka „bezczelności” władz Ukrainy – ale przecież antyukraińskość nie jest jedynym wyróżnikiem Brauna. W miksie energetycznym napędzającym (żeby zachować poetykę Przemysława Czarnka) parowóz Korony jest wiele składowych – wśród nich takie, które przemawiają do ludzi lewicy. To odrzucenie doktryny rusofobii – a zwłaszcza straszenia „ruskim najazdem”; mówienie wprost o izraelskim ludobójstwie w Gazie; ukłony pod adresem ludzi Polski Ludowej (pisałam o tym dwa tygodnie temu). Po żaden z tych komunikatów Czarnek nie sięgnie – to wszystko pozostaje w zasięgu lewicy. Wystarczy się schylić.

I jest jeszcze inny wart uwagi element wystąpienia Wielkiego Maszynisty Prezesa. Chodzi o to, co mówił o gospodarce.

Na gospodarce Czarnek się w sposób oczywisty nie zna – co skądinąd odróżnia go od Mateusza Morawieckiego. Morawiecki, czego by o nim nie mówić, rozumiał sens keynesowskiej polityki gospodarczej i istotę jej popularności wśród mas. Takie, moim zdaniem, było

źródło kolejnych sukcesów wyborczych PiS: ludzie po prostu czuli, że żyje im się lepiej, więc przymykali oko na wszystko inne. Gabinet Czarnka – w którym Morawiecki wyraźnie nie planuje brać udziału – będzie tak samo głuchy i ślepy społecznie jak rząd Tuska.

Wystarczyło wysłuchać krakowskiego wystąpienia, w którym kandydat na szefa rządu kilkanaście razy powtórzył magiczne słowo „przedsiębiorcy” – za to o pracownikach wspominał jedynie w kontekście należnych przedsiębiorcom zasobów („Wszystko po to, żeby ten przedsiębiorca, który ma ogromnie wiele pracy dzięki wielkim inwestycjom publicznym, mógł mieć również pracownika wykształconego akurat w tej dziedzinie…”).

Czarnek mówi o przedsiębiorcach, Tusk mówi o przedsiębiorcach, Mentzen mówi o przedsiębiorcach i Braun też raczej nie przemawia do klasy robotniczej.

Ta lewica, która wyciągnie z tego wnioski, ma szansę rozdawać karty za dwa lata.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

lepszym niż wprowadzenie limitów”. Otóż gówno prawda, bo w zasadzie na jedno wyjdzie.

Projekt nędza

Jak tłumaczy fundusz, nowy model uwzględnia różnicę między kosztami stałymi a kosztami zmiennymi świadczeń. Koszty stałe, takie jak np. amortyzacja sprzętu, będą dalej rozliczane w ramach kontraktu, natomiast koszty zmienne, jak m.in. wynagrodzenia lekarzy zewnętrznych i personelu kontraktowego, przy nadwykonaniach będą finansowane w ograniczonym zakresie. Tłumacząc na polski: placówki będą realizować kontrakt, a potem zaprzestaną udzielania świadczeń, bo nie będą dopłacać do interesu.

Koszty stałe w świadczeniach medycznych to te wydatki, które placówka ponosi niezależnie od tego, ile dokładnie badań wykona w danym okresie kontraktowym. Wydatki te nie rosną proporcjonalnie do liczby procedur. Oprócz wspomnianej amortyzacji medycznych zabawek, w ich skład zalicza się też m.in. serwis techniczny, utrzymanie infrastruktury, licencję oprogramowania itd. Co istotne, pula kosztów stałych uwzględnia też personel medyczny, ale tylko ten zatrudniony na podstawowym etacie. Do kosztów zmiennych zaliczamy np. materiały jednorazowe użyte w trakcie badania i medyków zatrudnionych w ramach kontraktów B2B. Mamy zatem taką sytuację: jest tomograf, jest kasa z NFZ, a za drzwiami stoi (bądź leży) tysiąc Kowalskich, którzy muszą pilnie wskoczyć do maszyny. Badanie jest nielimitowane, więc robota idzie pełną parą. Szpitale z oszczędności mało kogo zatrudniają na etat, bo lekarzy zatrudnionych na umowę o pracę obowiązuje kodeks pracy i limit godzin, wskutek czego etatów musiałoby być sporo. Lwią część procedur wykonują więc medycy na kontraktach, wobec których kodeksy i limity zastosowania nie mają, ale to też kosztuje. Kowalscy są taśmowo diagnozowani, ale do dyrekcji przychodzi prezes Nowak i mówi, że od dzisiaj pełną stawkę płaci tylko do kwoty zawartej w umowie. Za resztę wykłada tylko 40 proc. stawki, bo tak mu wyszło, jak odliczył koszty stałe, które i tak zostały poniesione w ramach kontraktu z placówką. Pamiętajmy, że w tych kosztach nie ma personelu na umowach B2B. Aktualizacją wycen świadczeń zajmuje się Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Koszty poszczególnych projektów taryfikacyjnych (np. diagnostyki obrazowej) odświeża się średnio co dwa lata. Co więcej, wiele placówek robiąc na akord lepiej wyceniane badania, pieniędzmi z NFZ upychało dziury finansowe w gorzej opłacanych procedurach. Czy te podmioty będą wykonywać badania bez zysku, a nawet z dopłatą w ramach proponowanych 40 proc. ponad umowę? Nie wiem, choć się domyślam.

Dura lex

Zgodnie z obowiązującą metodologią liczenia kasy na ochronę zdrowia wydatki bieżące z danego roku odnosi się do PKB sprzed dwóch lat. Tworzy to pewien miraż, że państwo wydaje na zdrowie więcej, niż wydaje w rzeczywistości. Dla porównania, jak bardzo po macoszemu jest traktowany ten sektor, wystarczy wspomnieć, że wydatki na obronę narodową liczy się w stosunku do PKB z tego samego roku. Na przestrzeni ostatnich lat inflacja cen usług medycznych była 2,5-krotnie wyższa niż ta w gospodarce. Efekt jest taki, że

chociaż mamy marzec 2026 r., polskie szpitale wciąż czekają na blisko 9 mld zł z tytułu świadczeń wykonanych w roku ubiegłym. NFZ nie płaci nawet za to, za co zapłacić powinien.

Przesunięcie wypłat za nadlimitowe procedury o rok najprawdopodobniej rozłoży na łopatki placówki, które ledwo zipią na granicy dochodowości. Szpitale powiatowe i małe ośrodki medyczne w pipidówkach padną albo zostaną wchłonięte przez większe podmioty. Zapachniało trupem biedoty i prywatyzacją dla bogatych.

Co prawda Nowak zaznaczył, że nowe wytyczne nie zahaczą o diagnostykę onkologiczną i pediatryczną, ale wbrew pozorom nie ma się z czego cieszyć. Żeby pacjent w ogóle trafił na leczenie onkologiczne, musi poddać się badaniom. Im dłużej będzie trwał proces, tym większe urośnie raczysko. To dlatego NFZ i MZ przewalają kupę kasy na kampanie społeczne o profilaktyce.

Na marginesie prezes NFZ zaznaczył, że zmiany nie muszą ograniczać się wyłącznie do czterech procedur ASDK. Myślami wybiega już do identycznych cięć w rehabilitacji czy diagnostyce osób ze znacznym stopniem niepełnosprawności. Problemem nie są nadwykonania, a niedoszacowanie potrzeb zdrowotnych starzejącego się społeczeństwa i niedofinansowanie całego sektora. Miłościwie panujący rozwiązanie patowej sytuacji widzą jedynie w zepchnięciu konsekwencji na pacjenta.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 69f3f167e1

O tym, czy ktoś jest przestępcą, wyrokuje internet

Zwyrol dożywotni

W sanatorium wszystko dzieje się szybciej. Trzy tygodnie wystarczają, by obcy ludzie zaczęli mówić sobie po imieniu, spacerować razem po deptaku, siadać przy jednym stoliku w jadalni. On miał ponad 70 lat. Były mistrz kraju w dyscyplinie, która dawała mu rozpoznawalność w środowisku. Ona – czterdziestolatka, mężatka, przyjechała podreperować zdrowie. Poznali się jak większość kuracjuszy – przy stole, podczas zabiegów, na wieczorku tanecznym. Rozmowy zaczęły się od banalnych tematów: skąd jesteś, na co przyjechałeś, ile jeszcze dni do końca turnusu. Wersje stron co do późniejszej dynamiki relacji były odmienne tylko w jednym punkcie – w interpretacji.

Za deptakiem

Według oskarżonego relacja miała charakter flirtu, potem wzajemnego zainteresowania. Według kobiety – to był gwałt. Sąd ustalił jedno: strony utrzymywały kontakt towarzyski przez kilka dni. Widziano ich razem. Rozmawiali. Spacerowali.

Wieczór, który stał się osią procesu, nie zaczął się dramatycznie. Kobieta przyszła do pokoju mężczyzny. On twierdził, że doszło do zbliżenia za obopólną zgodą. Że nie było sprzeciwu. Że kobieta nie sygnalizowała niechęci ani słowem, ani gestem. Ona mówiła o przekroczeniu granicy, o sytuacji, w której nie potrafiła zaprotestować. O sparaliżowaniu, o poczuciu wykorzystania.

Nie stwierdzono obrażeń. Nie sporządzono dokumentacji medycznej bezpośrednio po zdarzeniu. Kobieta nie zgłosiła sprawy następnego dnia. Nie opuściła natychmiast turnusu. Zawiadomienie złożyła dużo później. Oskarżenie tłumaczyło, że ofiara dopiero z czasem była w stanie nazwać to, co się wydarzyło.

W przestrzeni publicznej sprawa żyła własnym życiem. Informacja o oskarżeniu rozeszła się natychmiast. Wiek oskarżonego działał na wyobraźnię. Różnica lat – jeszcze bardziej. Zgwałcił! Bo w Polsce oskarżenie o naruszenie wolności seksualnej potrafi stać się tożsamością. Nawet jeśli kończy się wyrokiem korzystnym dla oskarżonego. A uniewinnienie nie rozchodzi się tak szybko jak zarzut.

Wystarczy nagłówek

W październiku 2024 r. w Katowicach doszło do zdarzeń, które w ciągu kilku tygodni stały się tematem medialnej burzy, no i procesu sądowego o gwałt. Dwóch znanych dziennikarzy motoryzacyjnych związanych z TVN Turbo zostało oskarżonych o przestępstwo seksualne na dwóch kobietach po wspólnym wieczorze w restauracji i późniejszym wyjeździe do jednego z katowickich apartamentów.

Dla opinii publicznej sprawa miała wszystko, co przyciąga uwagę: rozpoznawalne nazwiska, kontekst nocnej imprezy i zarzuty powodujące, że panowie na pewno byli gwałcicielami. Z ustaleń prokuratury wynikało, że po spotkaniu w restauracji wszyscy udali się do wynajętego przez kobiety apartamentu. Tam – jak twierdziły pokrzywdzone – miało dojść do wykorzystania ich nietrzeźwości i doprowadzenia do seksualnego kontaktu bez zgody.

Oskarżeni nie przyznawali się do winy. Twierdzili, że żaden kontakt nie był wymuszony, a kobiety same zaprosiły ich do apartamentu i uczestniczyły w sytuacji dobrowolnie. Sąd przez kilka miesięcy przesłuchiwał świadków, analizował opinie biegłych, badał materiał dowodowy. W opinii publicznej jednak wyrok zapadł dużo wcześniej – w chwili, gdy media poinformowały o zarzutach.

Ostatecznie zapadł wyrok uniewinniający. Po jego ogłoszeniu jeden z dziennikarzy napisał: „Dzisiejszy wyrok uniewinniający za absurdalne zarzuty i oskarżenia. Te zarzuty zniszczyły mi życie osobiste i zawodowe". To były słowa triumfu, ale też goryczy. Bo nawet

wyrok uniewinniający nie cofa miesięcy medialnego hejtu, internetowych ocen i zawodowych konsekwencji. Bo w Polsce oskarżenie o gwałt – zwłaszcza gdy dotyczy osób publicznych – natychmiast staje się społecznym werdyktem. Wystarczy nagłówek.

14 lat odgwałcania

W 2008 r. w Olsztynie urzędujący prezydent miasta Czesław Jerzy Małkowski został zatrzymany i oskarżony o gwałt na pracownicy ratusza. Informacja rozeszła się błyskawicznie. W przestrzeni publicznej pojawiły się słowa brzmiące jak wyrok: „wykorzystanie", „przemoc", „urzędniczka w ciąży".

Zarzut dotyczył zdarzenia, do którego miało dojść w gabinecie prezydenta. Pokrzywdzona była urzędniczką podległą mu służbowo. W chwili zdarzenia była w zaawansowanej ciąży. Relacjonowała, że została wezwana do gabinetu, gdzie miało dojść do zbliżenia wbrew jej woli. W sprawie pojawiły się również wątki innych kobiet, które mówiły o niestosownych zachowaniach ze strony prezydenta, jednak główny zarzut dotyczył konkretnego czynu zakwalifikowanego jako gwałt. Wobec Małkowskiego zastosowano areszt. Dla wielu był to moment przesądzający. Wkrótce potem został odwołany z funkcji w drodze referendum.

Po kilku latach procesu zapadł pierwszy wyrok skazujący. Sąd uznał Małkowskiego za winnego gwałtu i wymierzył mu pięć lat pierdla. Ale Sąd Okręgowy uchylił wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania. I tym razem – po kolejnych latach – zapadł wyrok uniewinniający. Apelacja to podtrzymała, a Sąd Najwyższy oddalił kasację. Po 14 latach, gdy Małkowski uchodził za gwałciciela, zapadło prawomocne uniewinnienie.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Po prawomocnym uniewinnieniu sąd przyznał mu odszkodowanie i zadośćuczynienie za niesłuszne zatrzymanie i areszt. Ale rekompensata finansowa nie cofa lat publicznego osądu.

Seksualni rozbójnicy

W Malawie pod Rzeszowem na przestrzeni miesięcy kilka kobiet zgłosiło napaści o charakterze seksualnym. Schemat – według relacji pokrzywdzonych – miał być podobny. Atakujący zaskakiwał kobiety w miejscach oddalonych – przy drogach dojazdowych, w rejonach zalesionych, w godzinach wieczornych. Działał szybko, z zaskoczenia. Twarz częściowo zasłonięta, krótki kontakt, ucieczka. Strach narastał. Media lokalne pisały o „gwałcicielu z Malawy".

Policja zatrzymała pana Grzegorza. W medialnych relacjach zaczęło funkcjonować określenie „seryjny gwałciciel". Ale śledztwo nie zakończyło się na jednym nazwisku. Prokuratura objęła zarzutami także dwie inne osoby. Przyjęto koncepcję, że niektóre z napaści mogły mieć charakter wspólny – że sprawcy działali w porozumieniu.

W opinii publicznej sprawa nabrała jeszcze większego ciężaru. „Grupa gwałcicieli" – teraz takie określenie pojawiało się w komentarzach. A w małej społeczności ludzie się znają i każdemu z obwinionych doklejono łatkę zboka. W pierwszym procesie sąd uznał, że zebrany materiał dowodowy pozwala na przypisanie winy. Zapadły wyroki skazujące wobec wszystkich trzech. Dla publiki był to dowód, że śledczy mieli rację.

Sąd Apelacyjny w Rzeszowie musiał odpowiedzieć na jedno zasadnicze pytanie: czy łańcuch dowodów jest na tyle spójny i jednoznaczny, by wykluczyć racjonalne wątpliwości? Nie był. Zapadło uniewinnienie – wobec wszystkich trzech. Przyszło po latach. Po miesiącach odsiadki. Po funkcjonowaniu w przestrzeni publicznej jako „gwałciciele z Malawy". A w małej miejscowości takie etykiety nie znikają wraz z wyrokiem. Nawet gdy sąd mówi „nie udowodniono", w pamięci zbiorowej zostaje, że coś było na rzeczy.

Do jednej bramki

Sprawa pana Dawida znanego w środowisku bramkarza, zaczęła się nie na stadionie, lecz w prywatnym mieszkaniu. Nie podczas meczu, lecz podczas spotkania towarzyskiego w chałupie piłkarza. Oboje znali się wcześniej. Kontakt nie był przypadkowy ani anonimowy. Kobieta przyjechała dobrowolnie. Spotkanie było umówione wcześniej. Wieczór miał charakter prywatny. Nie było świadków. Nie było nagrań. Były rozmowa, alkohol i dwoje dorosłych ludzi.

Według kobiety w pewnym momencie sytuacja miała przekroczyć granicę, na którą nie wyrażała zgody. Twierdziła, że jej sprzeciw został zignorowany, że nie akceptowała przebiegu zdarzeń i że doszło do zbliżenia wbrew jej woli. Facet twierdził, że kontakt był wzajemny, że zachowanie kobiety nie wskazywało na brak zgody.

Sąd musiał ustalić, czy doszło do wykorzystania, czy też ma do czynienia z relacją, którą strony po czasie oceniły inaczej. Zwłaszcza że kontakt pani z piłkarzem po spotkaniu nie został natychmiast zerwany. Nie stwierdzono obrażeń ciała wskazujących na użycie siły. Nie było dokumentacji medycznej sporządzonej bezpośrednio po zdarzeniu, która potwierdzałaby przemoc fizyczną.

Zapadł wyrok uniewinniający. Po ogłoszeniu orzeczenia piłkarz mówił o uldze i o latach życia w cieniu oskarżenia. „Czekałem na ten dzień bardzo długo" – podkreślał. Nie wiedział, że dla mnóstwa ludzi gwałcicielem będzie do końca życia. Bo jego nazwisko wciąż funkcjonuje w wyszukiwarkach w towarzystwie słowa „gwałt".

Koloratka czyni winnym

W Tymbarku, gdy padło hasło „wikary oskarżony o gwałt", wyrok zapadł. A na dodatek, choć pokrzywdzona była osobą dorosłą, to dla części osób w regionie klecha był i pedofilem. Nic to, że nawet w lokalnych mediach pani była mieszkanką Tymbarku, parafianką, która zgłosiła proboszczowi, że młody wikary „miał ją skrzywdzić", a informacja ta od proboszcza trafiła do organów. Nie dowiemy, się czy rzecz miała miejsce na plebanii, w hotelu czy w domu kobiety. Proces toczył się za zamkniętymi drzwiami.

Wcześniej jednak wikary był tymczasowo aresztowany, a wyszedł po wpłaceniu 50 tys. zł kaucji. Przesiedział się za „dwukrotne doprowadzenie kobiety do współżycia przemocą" – jak to ujęła prokuratura. Ale sąd w Limanowej uniewinnił byłego wikariusza od obu zarzutów.

Obok tego wszystkiego działa jednak codzienna Polska – ta, w której wystarczy usłyszeć „ksiądz oskarżony o gwałt", by dopowiedzieć sobie resztę. Ta, w której dziennikarze mylą wyrok sądu z zarzutami prokuratora, które mogą być nic niewarte. Warto o tym pamiętać w świecie, w którym mediom wystarczy to, że prokuratorowi uwidziało się, że ten czy ten zgwałcił, ukradł, czy zrobił coś równie niefajnego.

Prokurator musi oskarżać, bo za to dostaje wynagrodzenie. A wyroki wydaje nie on, nie internet, nie dziennikarz i nawet nie zbiorowa emocja, ale niezawisły sąd, i to w co najmniej dwu instancjach. Tymczasem infamia spowodowana przyklejeniem się prokuratorskiego widzimisię do danego człowieka jest jednak w epoce społecznościówek niezmywalna. Niewinni będą więc winni po kres swoich dni.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Robot-żul pod Budzyniem! Piwo chla i praw nie zna! W Ratajach w gminie Budzyń pojawił się nietypowy mieszkaniec: humanoidalny robot Unitree G1 raczył się piwkiem z puszki na przejściu dla pieszych. Policja przymknęła oko. Robot Unitree G1 kosztuje 99 tys. zł, ma 132 cm wzrostu i waży 35 kg. Macie wątpliwości co do przyszłości maszyn? Porzućcie je! Już dziś mogą upijać się bezkarnie w przestrzeni publicznej, za co wy poszlibyście za kraty. Potem będą kraść, gwałcić i mordować, ale to też nie będzie ich wina. Kodeksy karne przewidują kary dla ludzi, a maszyny wolne.

▮ Policjanci w Żorach zatrzymali 43-latka, który włamał się do butelkomatu przy ul. Męczenników Oświęcimskich. Ukradł klucze, dostał się do środka i zabrał butelki. Wartość łupu? 50 groszy! Czyn zakwalifikowano jako kradzież z włamaniem, za co grozi do 10 lat więzienia. A ponieważ 43-latek jest recydywistą, kara może wzrosnąć nawet do 15 lat. Nie ukradł nawet 50 groszy, a oni chcą mu dać wikt i opierunek na koszt podatników przez 15 lat? Łatwiej chyba wygrać szczęście w totka, a ten zwyciężył na butelkomacie.

▮ Sąd w Bochni aresztował na trzy miesiące 35-latka, który w Małopolsce urządził kurierski teatr. Przebrał się za kuriera, odebrał Thermomix za 5700 zł i nie zapłacił. Przygotował się solidnie: wypożyczony dostawczak, ciuchy kurierskie, etykiety. Ale policja była szybsza. Pościg zakończył się w Babicach, gdzie „kurier" wjechał w ogrodzenie. Przy okazji uszkodził radiowóz. Na domiar złego okazało się, że był pijany i pod wpływem amfetaminy. Cóż, mówią, że drugi milion zarabia się uczciwie. Ale przy pierwszym wielu ląduje za kratami, nie dobijając nawet do 100 tys. zł. Raczkujący biznesmeni, miejcie to na uwadze!

▮ Policjanci zatrzymali 33-letnią kobietę, która prowadziła samochód z promilami, jakie normalnie wysłałyby człowieka na tamten świat. Mieszkanka gminy Jarocin miała we krwi 4 promile. Zatrzymano ją i odwieziono na komendę w Pleszewie, a prawo jazdy do szuflady. Typowy rachunek za taki litraż w Polsce (łącznie z kosztami sądowymi i adwokatem) to 20–40 tys. zł i do trzech lat więzienia. Jak można żyć w tym zamordyzmie? Śmiertelna dawka, a ona przeżyła i nikogo nie zabiła! Powinna dostać audiencję u prezydenta i zostać poddana specjalnym badaniom, żeby sprawdzić, jak to w ogóle możliwe. A tu – karcer i bankructwo.

▮ 42-latka i jej 61-letni mąż nie polecieli na wakacje na Malediwy. Podczas kontroli na lotnisku Kraków Balice okazało się, że kobieta ma nieważny paszport. Zaczęła się awantura, wulgaryzmy wobec Straży Granicznej. Badanie wykazało, że oboje mieli ponad 2 promile. Para została aresztowana. Następnego dnia wszczęto wobec nich postępowanie za znieważenie funkcjonariuszy. Warto jednak zauważyć, że do opuszczenia kraju wystarczy ważny dowód osobisty lub paszport. Warunki wjazdu do państwa docelowego określa to państwo i przewoźnik lotniczy. Wymaganie przez straż graniczną ważnego paszportu nie wynika wprost z przepisów.

▮ Sąd skazał Łukasza Sz. na siedem lat więzienia za serię przestępstw, w tym za bestialskie zabicie strusia Zenka z gospodarstwa agroturystycznego pod Poznaniem. Za samo uśmiercenie zwierzęcia ze szczególnym okrucieństwem dostał cztery lata. Sąd orzekł również 15-letni zakaz posiadania zwierząt i nakazał wpłatę 5 tys. zł na schronisko oraz 20 tys. zł odszkodowania właścicielowi strusia. Dobrze, że nie trafił pawia, bo dostałby dożywocie, a za żyrafę to pewnie byłaby czapa.

▮ Krzysztof Nizielski, wójt gminy Jednorożec, odmówił przyjęcia podwyżki, o której dyskutowano na posiedzeniu rady gminy. Poprosił radnych, aby jego pensja pozostała na dotychczasowym poziomie. Podwyżki dla samorządowców stały się możliwe dzięki nowelizacji rozporządzenia z 2025 r., która podniosła maksymalne stawki wynagrodzeń wójtów, burmistrzów i prezydentów

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 69f3f167e1

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Moralność stanowienia przepisów drogowych

Autem na szubienicę

Karanie to bardzo paradoksalna dziedzina ludzkiej działalności. Ilekroć zmienia się prawo i podniesiony zostaje wymiar kary za jakieś przestępstwo lub wykroczenie, zastanawiam się pół żartem, pół serio (czy można zastanawiać się żartem?), dlaczego właściwie nie wprowadzić od razu kary śmierci albo dożywotniego więzienia? Byłby spokój! I tak ostatnio weszły przepisy stanowiące, że traci się prawo jazdy po przekroczeniu o ponad 50 km/h dozwolonej prędkości na drogach dwujezdniowych poza obszarem zabudowanym, ale już nie na drogach ekspresowych ani na autostradach. Będzie bezpieczniej. Tylko dlaczego nie miałoby być jeszcze bezpieczniej dzięki objęciu zakazem również autostrad? Dlaczego mamy się ograniczać w surowości kar?

Faktycznie, wygląda to trochę tak, jakbyśmy zgadzali się na śmierć pewnej (ale statystycznie wyliczalnej) liczby ludzi, aby zachować komfort wielu tysięcy takich, którzy czasami wcisną gaz i zbliżą się do 200 km/h, jadąc lewym pasem pustawej autostrady. Nikt tego nie powie głośno, ale wygląda na to, że tak właśnie jest. Dla wygody i przyjemności, jakie daje bezkarność, poświęcamy życie anonimowych, statystycznych osób. *Ecce homo!* Taki jest człowiek!

Bardzo dużo jeżdżę autostradami, bo żyję równolegle w trzech miastach. Każdego tygodnia pokonuję bity tysiąc kilometrów, wysiadując przy tym bite 10 godzin na fotelu kierowcy. Ileż to audiobooków dzięki temu odsłuchałem! I jako weteran szos wiem, co mówię, gdy gorąco przytakuję apelom o objęcie podwyższonymi karami również tych najszybszych dróg. Bo to, co niektórzy tam wyprawiają, zaiste woła o pomstę do drogówki!

Jednakże nie wściekłość, lecz ciekawość powoduje mną, gdy zadaję sobie to pytanie: dlaczego nie od razu szubienica? Dlaczego w ogóle ograniczamy się pod względem represyjności prawa?

Są różne przypadki. Czasami represja karna ma charakter zemsty i powodowana jest wściekłością. Czasami jest wynikiem ulegania przez polityków populistycznej emocji albo nawet nie ulegania, lecz wykorzystywania jej do budowania własnej popularności. Bywa i tak, że przestępstwo jest trudne do wykrycia, a drastyczna represja ma niejako kompensować bezradność aparatu ścigania, który nie ma sił ani środków, aby łapać licznych a nieuchwytnych złoczyńców. Tak zresztą bywa nieraz właśnie na gruncie prawa drogowego.

Wszystkie te przypadki są raczej mało interesujące z etycznego punktu widzenia – w każdym z nich represja jest słabo uzasadniona i zapewne przesadna. Znacznie ciekawszy jest nasz przypadek z ostatnim zaostrzeniem kar za przekroczenie prędkości miłosiernie wyłączającym najszybsze drogi. Oficjalnie tłumaczenie jest takie, że są one najbezpieczniejsze. Ale czemu nie miałyby być jeszcze bezpieczniejsze? Zwłaszcza, gdyby kosztować to miało zmianę kilku słów w przepisach? Niestety, najbliższe smutnej prawdy jest przyznanie, że tak jest dla nas wygodniej, bo nie chcielibyśmy tracić prawa jazdy, gdy zdarzy się nam trochę bardziej przycisnąć na autostradzie. Życie abstrakcyjnych, statystycznych ofiar po prostu mało nas interesuje. Jeszcze dobitniej widać to w przypadku polityczno-prawnego procesu mającego na celu ograniczanie smogu spowodowanego paleniem węglem w hutach, w elektrowniach i w domach. Doskonale wiadomo, że spowalnianie tego procesu, podyktowane wyłącznie względami pieniężnymi, kosztuje osobolata życia (bo tak to się mierzy) idące w dziesiątki tysięcy w skali roku. Smog bowiem bardzo skutecznie skraca życie. Tyle że dla ogółu to tylko abstrakcja. Nikt nie boi się przyszłej przewlekłej obturacyjnej choroby płuc, a za to wyższego rachunku za prąd albo utraty pracy w kopalni – jak najbardziej.

Ludzka niefrasobliwość, egoizm i chciwość są moralnym smogiem, w którym zanurzone jest całe życie społeczne i polityczne, łącznie z procesami legislacyjnymi. Jesteśmy brzydcy i dlatego mamy takie przepisy, które trochę tę naszą brzydotę moralną pudrują, lecz nie próbują jej na siłę zmieniać. Bo też wcale tego nie chcemy – chcemy być sobą, nawet jeśli „być sobą” znaczy być „być nieczułym egocentrykiem bez wyobraźni”. Takie to są smutne realia. I w dodatku nie bardzo można otwarcie o nich mówić, bo nadmierna szczerość i jawność wszystko niszczy, jak to w życiu.

Inaczej jest jednakże w filozofii. Filozofia, a razem z nią jej część poświęcona życiu moralnemu, zwana etyką, ma to do siebie, że nie respektuje żadnych tabu i chce mówić o wszystkim wprost. Tylko że powie i co z tego? Czy nasze życie staje się przez to lepsze, gdy uświadomimy sobie, jakie to czasami niskie pobudki kierują naszymi decyzjami legislacyjnymi? Pewnie gdy uświadomi sobie to jeden z drugim, to tylko się może nieco zafrasować, jednakże można sobie przecież wyobrazić taki świat, w którym świadomość etyczna jest dość powszechna i mają ją całkiem nieźle rozwiniętą nawet posłowie. W takim świecie analiza etyczna byłaby czymś naturalnym w murach parlamentu i mogłaby faktycznie przyczyniać się do stanowienia lepszego prawa. Punktowo dzieje się to nawet tu i tam, na przykład w krajach skandynawskich. Niestety,

z jakością argumentacji moralnej na parlamentarnych trybunach nie jest najlepiej. Miesza się ona zbyt łatwo z ideologią, a społeczne tabu mimo wszystko obowiązują.

Tylko w „NIE” można sobie to i owo szczerze powiedzieć i serdecznie sobie zakląć. A więc na pohybel piratom drogowym, na polnych ścieżkach i na autostradach!

JAN HARTMAN

SŁOWO CZERWONE

Zastraszeni

Kiedy bezprawie staje się prawem

Jacyś cwaniacy skupili trochę świadectw udziałowych przedwojennych spółek, które nie istnieją, i na tej podstawie zaczęli rościć sobie prawo do gruntów, na których przed wojną te spółki działały. Zaczęli wysuwać roszczenia do lokatorów postawionych po wojnie budynków mieszkalnych. Żądali od mieszkańców kwot, które równają się mniej więcej temu, co właściciele mieszkań już raz zapłacili za swoje lokale. Numer na wnuczka to przy tym przekręcie pikuś. Na 20. piętrze Pałacu Kultury zebrała się komisja miejska, która miała uspokoić zagrożonych mieszkańców. Ale nie uspokoiła. Próbowałem porozmawiać z tymi lokatorami, którzy się nie zmieścili na sali i chodzili nerwowo po korytarzu. Próbowałem tych w większości młodych mieszkańców namówić, aby zgodzili się udzielić nam wypowiedzi na nasz kanał e-respekt. Wszyscy odmówili, tłumacząc, że się boją.

Na początku mnie zatkało. Jak przyzwoici obywatele, którzy wykupili swoje lokale, mogą bać się przestępców, którzy próbują wyłudzić od nich pieniądze za ich własność? A potem usiadłem i zastanowiłem się. Podobna operacja miała miejsce stosunkowo niedawno. To była złodziejska reprywatyzacja. Na podstawie sfałszowanych dokumentów rozkradziono olbrzymi majątek, mnóstwo kamienic. Przepędzono z nich lokatorów, choć mieli ważne umowy najmu z miastem. Ten niebywały rozbój w biały dzień nie sprawił, że ktokolwiek z tych złodziei poszedł siedzieć. Sprawcy reprywatyzacji zlecili morderstwo Jolanty Brzeskiej, a organa, zamiast pójść tropem złodziei i morderców, zrobiły wszystko, aby nie dało się ich znaleźć. Jak się nie bać, skoro tak trudno odróżnić policjantów od bandytów?

Jak się nie bać, skoro gangster udający biznesmena najął czeczeńskich bandytów, którzy wbrew postanowieniom sądów biją kupców i nie dopuszczają ich do ich kramów i towaru? A policja bezczynnie przygląda się biciu handlowców, którym sądy raz po raz przyznają prawo do odzyskania miejsca pracy i dobytku?

Jak się nie bać, skoro jedna z najbardziej opiniotwórczych gazet w kraju chwali firmy złożone z karków, którzy w sposób bezprawny wyrzucają zadłużonych lokatorów, tak jak gdyby dług sprawiał, że dłużnicy nie są już chronieni prawem?

Jako prawnik i społecznik dwoję się i troję, żeby prawo było przestrzegane. Ale nie jest. Liczą się kasa i zyski. A biedni zwykle nie mają racji. Bo rację ma bogacz, właściciel. I kiedy ten właściciel nie wypłaca człowiekowi wynagrodzenia, jesteśmy bezradni. Kiedy okradziony z wypłaty pracownik próbowałby – tak jak właściciele mieszkań pod wynajem – machnąć ręką na prawo i przysłać do pracodawcy pozbawionych szyi bandytów, którzy przy pomocy tzw. negocjacji odzyskaliby należne pensje, poszedłby siedzieć. A przecież nie raz, nie dwa przyczyną zalegania z czynszem jest zaleganie z wypłatą.

Na początku lat 90. pewna kobieta zamówiła ekipę fachowców, którzy wyremontowali jej dom. Kiedy już chcieli pobrać wynagrodzenie i wrócić do siebie w góry na święta, kobieta odmówiła zapłaty i straszyła swoim mężem generałem. Murarze wzięli kluczyki od nowiutkiego Mercedesa w zastaw i czekali spokojnie, aż baba pójdzie po rozum do głowy i wypłaci. Ona wezwała policję. Funkcjonariusze, zorientowawszy się w sytuacji, wzięli ją na stronę i kazali jechać do banku po pieniądze i zapłacić góralom należność. I tak zrobiła. Ale to było dawno. To jeszcze była inna policja. Ta dzisiejsza posadziłaby ludzi pracy za zabór mienia. Bo dla władzy niewypłacenie wynagrodzenia za kilka miesięcy pracy to nie kradzież. Bo jak często skandujemy na demonstracjach: „policja broni bogatych przed biednymi!”.

Za komuny brałem udział w wielu zadymach, strajkach, demonstracjach. Szliśmy pod pałki ze śpiewem na ustach. Bo byliśmy razem silni. Teraz każdy jest sam i się boi. Póki mordercy Joli Brzeskiej chodzą na wolności, jest się czego bać.

W niemieckim Jeremiasie pod Gnieznem odbywał się strajk. Ale firma straszyła, że związek zawodowy jest nielegalny i strajk też. Przyjechała Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ministerka pracy, i na zaimprowizowanym wiecu przekonywała niewielką grupkę pracowników, że prawo do strajku istnieje, że mogą przerwać pracę i nic im za to nie grozi. Mało tego – że utrudnianie strajku jest bezprawne. Większość wystraszonej załogi nie zatrzymywała się na wiecu. Przemykali się chyłkiem do zakładu. Minęło już kilka miesięcy. Przewróconego wyrokiem sądu do pracy Mariusza Piotrowskiego, szefa związku zawodowego, wciąż nie wpuszczono do zakładu. Niemieccy pracodawcy płacą symboliczne grzywny nakładane przez sąd i śmieją nam się w twarz. Jesteśmy tylko zasobami ludzkimi, biednymi tubylcami, którym przez chwilę się wydało, że mamy jakieś prawa.

Kiedy w zakładach Fiata we Włoszech wybuchał strajk, załoga na początek paliła kilka samochodów. Żeby pracodawca nie myślał, że to są jakieś żarty. Strajk to strajk.

PIOTR IKONOWICZ

miast o około 5 proc. Ostateczna decyzja należy jednak do rad gmin. Nizielski uzasadnił swoją prośbę tym, że uważa obecne wynagrodzenie za godziwe i wolałby, aby pieniądze pozostały w budżecie gminy na realizację inwestycji i projektów ważnych dla mieszkańców. Podkreślił również potrzebę dyscypliny finansowej w samorządzie. Oby więcej takich samorządowców!

▮ Polacy toną w długach! Przeterminowane zobowiązania sięgają 81,3 mld zł! Tak wynika z danych Biura Informacji Kredytowej (BIK) na koniec 2025 r. Zaległości miało około 2,4 mln Polaków. Średnio 34 tys. zł. Najliczniejszą grupę zadłużonych stanowią osoby w wieku 35–44 lata. Rekordzistą jest 69-letni mieszkaniec Lubelszczyzny z długiem na ponad 98 mln zł! Kolejne miejsca zajmują 43-latka z Mazowsza (82 mln) i 52-latka z Pomorza (76 mln). Kwota 81,3 mld to głównie długi konsumenckie: kredyty, pożyczki, niezapłacone rachunki za telefon, energię czy czynsz (nie chodzi o należności biznesowe, wobec ZUS czy skarbówki).

▮ Komitet referendalny poinformował o zebraniu 101 947 podpisów pod wnioskiem o odwołanie prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego i rady miasta. Podpisy zebrano w 35 dni. Do rozpisania referendum potrzeba 58 tys. ważnych podpisów, więc próg został przekroczony. Słusznie! Jak się wbrew ludowi robi strefę czystego transportu, to teraz von! *Vox populi, vox dei.* Szanse na odwołanie krakowskiego tyrana są spore. Miszalski zdobył w wyborach tylko 133 703 głosy. Czy padnie pod karzącym krzyżykiem ludowych mas? To zależy od referendalnej frekwencji.

▮ Populacja gawronów w Polsce gwałtownie maleje. Średnio o 4–5 proc. rocznie, a w niektórych regionach nawet o 80 proc. Obecną populację szacuje się na 137–178 tys. par lęgowych. Przyczyną są monokultury upraw, chemizacja rolnictwa, zanik łąk i niszczenie kolonii lęgowych. Przyrodnicy biją na alarm: za 30–40 lat gawron może stać się rzadkością. Phi! Po wróblach płaczemy, bo już ich prawie nie ma, ale za gawronami nikt łez ronić nie będzie. Prędzej ktoś się ucieszy, że mniej tego czarnego tałatajstwa.

▮ W Wadowicach, mieście, które wydało na świat świętego papieża, ruszy produkcja ukraińskich armatohaubic Bohdana kalibru 155 mm. Nowa polsko-ukraińska spółka PK MIL SA, z udziałem PONARU Wadowice i Kramatorskich Zakładów Budowy Ciężkich Obrabiarek, zapowiada wytwarzanie tego systemu artyleryjskiego o zasięgu do 60 km. Nie wiadomo jeszcze, komu i gdzie wadowickie haubice odbiorą życie, ale sądząc po światowej koniunkturze, popyt będzie. Episkopat powinien chyba jednak zaprotestować przeciwko tej profanacji. Produkcja armat w mieście Jana Pawła II to przecież jak tęcza nad Jasną Górą. No chyba że będą to haubice miłości, które zamiast pocisków wystrzeliwują różańce.

▮ Amerykański samolot szpiegowski Artemis II myszkował w polskiej przestrzeni powietrznej w pobliżu obwodu królewieckiego. Wystartował z Rumunii i latał na wysokości około 9750 m. Kręgi i ósemki na niebie – to szpiegowski taniec, który pozwala podsłuchiwać i obserwować bez wlatywania nad Rosję. Gdyby Jaruzelski żył, posłałby mu S-125 Newa i byłoby po sprawie. A teraz? Trzeba odganiać chmurki, żeby się pilotowi kawa na jaja nie wylała. Bo jakby sobie nad Polską poparzył genitalia, to Trump mógłby się obrazić!

▮ Zaostrzenie polityki imigracyjnej administracji Donalda Trumpa przynosi wyraźne skutki dla Polonii w Stanach Zjednoczonych. Coraz więcej obywateli Polski trafia w ręce policji imigracyjnej ICE i czeka na deportację. W minionym roku wyrzucono ze Stanów 184 obywateli polskich. Ok. 30 tys. Polaków przebywa obecnie w USA nielegalnie. Przykłady ostatnich deportacji pokazują tempo i bezduszność amerykańskich służb. Polak z Podhala, który mieszkał w USA ponad 20 lat, został zatrzymany na ulicy i po 73 godzinach deportowany z 10-letnim zakazem wjazdu. Z kolei 62-letnia Irina Sobierajska, po niemal dwóch dekadach życia w Stanach Zjednoczonych, otrzymała 48 godzin na opuszczenie Ameryki.

▮ My też mamy swoich nielegalnych. Podczas akcji policji i straży granicznej zatrzymano 140 cudzoziemców. Najwięcej z nich to Ukraińcy (91), Gruzini (14) i Białorusini (8). Funkcjonariusze przeprowadzili 1800 kontroli legalności pobytu i wszczęto 130 postępowań o zobowiązanie do opuszczenia kraju. W akcji uczestniczyło 700 strażników granicznych i 26,5 tys. policjantów.

▮ Góralska rozpacz rozdziera serca – Dubaj na Krupówkach właśnie zbankrutował. Likwidacja połączeń lotniczych z krajami Zatoki Perskiej sprawiła, że szejkowie przestali raczyć się oscypkiem w Zakopanem. Bacowie zawodzą, że nawet po wojnie nieprędko zobaczą z powrotem te tłuste portfele, a może i nigdy. Żegnaj, Arabio, kebab pod Giewontem już nie dla ciebie.

RJ

PS Informacje powyższe pochodzą z lokalnej prasy, znanej z tego, że prawda miesza się w niej z plotką. Traktujcie je, Państwo, jako ciekawostkę, a nie jako wyryte w kamieniu fakty. Innymi słowy: czytaliście na własną odpowiedzialność.

eprasa.pl 69f3f167e1

Nasze państwo chyba nie bardzo wie, o co mu chodzi

Pożegnanie z bronią

Są w Polsce surowce, które kojarzą się z przeszłością. Z dymem nad familokami i pyłem na parapetach. I jest też taki surowiec, który większości myli się z węglem do pieca. Ale koksu nie wrzuca się na palenisko elektrowni. Bo koks nie służy do produkcji prądu, lecz do produkcji stali. A bez stali nie ma ponoć cywilizacji.

Węgiel koksowy to węgiel wyjątkowy. Poddaje się go procesowi koksowania. W bateriach koksowniczych, w temperaturze przekraczającej 1000 st. C, bez dostępu powietrza, powstaje koks – porowaty, wytrzymały materiał o bardzo wysokiej zawartości węgla. To on trafia do wielkiego hutniczego pieca. Tam umożliwia wytop surówki z rudy żelaza. Bez niego nie da się uzyskać odpowiedniej temperatury ani warunków do oddzielenia tlenu od żelaza. Można oczywiście opowiadać o „zielonej stali", o wodorze i elektrycznych piecach łukowych. Tyle że w skali globalnej ponad 70 proc. stali wciąż produkuje się w wielkich piecach na koks.

Bezpieczni koksem

Jastrzębska Spółka Węglowa to największy w Unii Europejskiej producent węgla koksowego i jeden z czołowych producentów koksu na świecie. Spółka kontrolowana przez skarb państwa, notowana na giełdzie, zatrudniająca dziesiątki tysięcy ludzi, operująca kopalniami na Górnym Śląsku i mająca własne koksownie.

To nie jest kolejny producent „czarnego paliwa". To firma wydobywająca surowiec uznany przez Unię Europejską za krytyczny dla gospodarki. Węgiel koksowy znajduje się na liście surowców strategicznych, bez których przemysł ciężki – w tym zbrojeniowy – po prostu staje. Kiedy więc ktoś wrzuca do jednego worka węgiel energetyczny i koksowy, to tak, jakby mylił ropę z asfaltem. Niby oba czarne, ale zastosowanie diametralnie inne.

W jednym z zakładów JSW uruchomiono niedawno instalację, którą branżowe media nazwały „jedyną taką w Europie". Chodzi o nowoczesne rozwiązania w procesie produkcji koksu, pozwalające zwiększyć efektywność i ograniczyć emisje. To nie jest detal technologiczny. To odpowiedź na pytanie, czy Polska chce być tylko montownią cudzych komponentów, czy krajem mającym własny łańcuch dostaw – od wydobycia przez koks po stal. Bo stal to nie tylko pręty zbrojeniowe i blachy na dach. To także pancerze, lufy, elementy konstrukcyjne mostów, wieże wiatrowe, szyny kolejowe i kadłuby statków. A skoro państwo zapowiada gospodarczy skok, a miliardy złotych mają popłynąć w modernizację armii, to pytanie brzmi: czym tę armię uzbroimy?

Polska w ostatnich latach podpisała kontrakty zbrojeniowe liczone w dziesiątkach miliardów dolarów. Czołgi, haubice, wyrzutnie rakiet, bojowe wozy piechoty. Każdy z tych produktów to tysiące ton stali specjalistycznej. Jeśli chcemy, by przynajmniej część tej produkcji była lokalizowana w kraju, musimy mieć dostęp do surowca. Nie do prądu z wiatraka. Do stali.

Jastrzębie dekoksizacji

Od lat trwa w Polsce dyskusja o górnictwie. O jego rentowności, kosztach społecznych, związkach zawodowych. Wszystko to prawda. Ale wrzucanie do jednego worka kopalń produkujących węgiel energetyczny i tych wydobywających węgiel koksowy to intelektualne lenistwo.

JSW apeluje o ochronę europejskiego rynku koksu. Bo import spoza UE często oznacza dumping, brak standardów środowiskowych i uderzenie w unijnych producentów. To nie jest prośba o jałmużnę. To postulat równej gry.

Jeszcze dwa lata temu w komunikatach giełdowych błyszczały miliardy. Zysk netto liczony był w cyfrach, które robiły wrażenie nawet na tych, którzy w polskim górnictwie widzieli wyłącznie studnię bez dna. Dziś w komunikatach tej samej spółki dominuje słowo „płynność". A w tle – pytanie, czy JSW nie znalazła się w punkcie, z którego prowadzą już tylko dwa wyjścia: bolesna restrukturyzacja albo kroplówka z budżetu.

W 2022 r. JSW była beneficjentem bezprecedensowej hossy. Ceny węgla koksowego wystrzeliły po pandemii i rosyjskiej agresji na Ukrainę. Wtedy właśnie chwalono się budową funduszu stabilizacyjnego – rezerwy finansowej mającej amortyzować przyszłe spadki koniunktury. Fundusz urósł do kilku miliardów złotych. Miał być poduszką bezpieczeństwa na lata dekoniunktury. Zarząd zapewniał, że spółka wyciągnęła wnioski z kryzysu sprzed dekady, gdy w 2015 r. JSW balansowała na granicy niewypłacalności i musiała ratować się restrukturyzacją długu.

Dziś ten fundusz praktycznie nie istnieje. Środki zostały zużyte. Spółka skonsumowała. A gdy rezerwy się skończyły, rozpoczęło się finansowanie działalności długiem. Zadłużenie rośnie o setki milionów złotych miesięcznie. W języku korporacyjnym to „przejściowe napięcia płynnościowe". W języku potocznym – życie na kredyt.

Problem JSW jest podręcznikowy – cykliczność rynku surowcowego. W szczycie koniunktury tona węgla koksowego na rynkach światowych kosztowała nawet ponad 400 dol. Wraz ze spadkiem globalnego popytu na stal, schłodzeniem chińskiej gospodarki i normalizacją łańcuchów dostaw ceny zaczęły spadać. Dziś są kilkukrotnie niższe niż w rekordowym 2022 r.

A JSW to nie firma IT, która może zredukować koszty jednym kliknięciem. To górnictwo głębinowe – z wysokimi kosztami stałymi, z rozbudowaną infrastrukturą, z tysiącami pracowników zatrudnionych na etatach, z wieloletnimi zobowiązaniami. Jeśli cena produktu spada, a koszty osobowe i energetyczne pozostają wysokie, wynik finansowy zaczyna krwawić.

W JSW działają ponoć 82 organizacje związkowe. Każda z prawem do reprezentacji pracowników, do negocjacji, do blokowania decyzji, do wywierania presji. W latach rekordowych zysków związki skutecznie negocjowały podwyżki, premie i dodatkowe świadczenia. Trudno się dziwić – pracownicy oczekiwali udziału w sukcesie. Ale koszty pracy rosły szybciej niż elastyczność przedsiębiorstwa. Aż pojawił się dylemat, jak obniżyć koszty bez naruszania wywalczonych przywilejów.

Związki zawodowe mówią wprost, że nie zgodzą się na przerzucanie kosztów kryzysu na pracowników. Z drugiej strony zarząd ostrzega, że bez działań oszczędnościowych spółka może mieć problem z utrzymaniem płynności. W tej układance brakuje tylko jednego – jasnej decyzji właściciela.

Haubice z miału?

Skarb państwa jest największym akcjonariuszem JSW. Czy rząd ma plan dla spółki? Czy dopuszcza dokapitalizowanie? Czy rozważa głęboką restrukturyzację? Czy jest gotów zmierzyć się z kosztami społecznymi ewentualnych zwolnień?

Oficjalne komunikaty są ostrożne. Mówi się o „monitorowaniu sytuacji", o „analizie scenariuszy", o „dialogu społecznym". Tymczasem rynek patrzy na wskaźniki zadłużenia i przepływy pieniężne, a nie na deklaracje.

W przeszłości JSW już przechodziła przez restrukturyzację. W 2016 r. konieczne było porozumienie z wierzycielami i związki zawodowe musiały zaakceptować bolesne ustępstwa. Dziś skala zobowiązań i oczekiwań społecznych jest większa.

Problemy JSW nie kończą się na jej bilansie. Spółka współpracuje z setkami firm – od dostawców maszyn po podwykonawców robót górniczych. Gdy JSW ogranicza inwestycje i opóźnia płatności, efekt domina jest nieunikniony. Kryzys może rozlać się na cały sektor okołogórniczy. W regionie, w którym alternatywy zatrudnienia nie są nieograniczone, to scenariusz niebezpieczny społecznie. I politycznie.

W mediach pojawiają się dramatyczne sformułowania o armagedonie i gigancie na krawędzi. Oczywiście spółka nadal wydobywa węgiel, nadal produkuje koks, nadal generuje przychody. To nie jest bankructwo w sensie formalnym. Ale jeżeli miesięczne zadłużanie się idzie w setki milionów złotych, jeśli koszty osobowe są trudne do ruszenia, a ceny surowca nie wracają do rekordów, to pytanie o długoterminową wypłacalność przestaje być złośliwością analityków. Największym problemem JSW nie jest dziś nawet cena węgla. Jest nim brak jednoznacznej publicznie przedstawionej strategii państwa wobec spółki.

Czy JSW ma być filarem przemysłu ciężkiego i otrzyma wsparcie w latach dekoniunktury? Czy ma działać na zasadach rynkowych i ponieść konsekwencje cyklu surowcowego? Czy jest spółką strategiczną tylko w przemówieniach, czy również w budżetowych decyzjach?

Jeżeli ich nie będzie, JSW może nie ogłosi bankructwa jutro ani pojutrze. Ale może powoli, miesiąc po miesiącu, osuwać się w finansową przepaść, z której wyciągnąć ją będzie mógł już tylko podatnik. A to zawsze jest najdroższe rozwiązanie.

Można oczywiście powiedzieć: „kupimy koks za granicą". Tyle że w sytuacji geopolitycznego napięcia i globalnej rywalizacji o surowce uzależnienie strategicznego sektora – jakim jest zbrojeniówka – od importu surowca podstawowego to ryzyko, którego poważne państwo raczej unika.

Rządowe zapowiedzi „skoku" sektora zbrojeniowego brzmią efektownie. Nowe linie produkcyjne, transfer technologii, zwiększenie zamówień w krajowych zakładach. Tyle że przemysł zbrojeniowy nie jest oderwany od reszty gospodarki. Potrzebuje stabilnych dostaw stali specjalistycznej. Potrzebuje przewidywalnych cen. Potrzebuje bezpieczeństwa surowcowego.

Jeżeli JSW stoi na krawędzi, jeżeli zadłuża się co miesiąc na setki milionów złotych, jeżeli fundusz stabilizacyjny został wyczyszczony, a państwo nie przedstawia spójnego planu, to cały łańcuch dostaw opiera się na założeniu, że „jakoś to będzie".

A „jakoś" w sektorze obronnym to najgorsza z możliwych strategii.

TADEUSZ JASIŃSKI

Rys. WIDGET

Życie w dobrobycie

● Jeszcze parę tygodni temu ekonomiści patrzyli na polski przemysł z umiarkowanym optymizmem. Po miesiącach marazmu pojawiły się nadzieje, że wreszcie coś drgnie. Tym bardziej że w oficjalnej narracji rządu wszystko wygląda znakomicie: płyną miliardy z KPO, gospodarka przyśpiesza, a Polska jest 20. gospodarką świata. Ekonomiści w to uwierzyli. Stąd prognozy dla lutowego wskaźnika PMI były wyraźnie optymistyczne. A w styczniu PMI dla polskiego przemysłu wynosił 48,8 pkt. To wciąż wynik poniżej granicy 50 pkt., która oddziela rozwój od spadku aktywności gospodarczej, ale wielu analityków uznało go za sygnał poprawy nastrojów. Dlatego wróżby na luty zakładały dalszą poprawę. Część ekonomistów spodziewała się, że wskaźnik wzrośnie w okolice 49–49,5 pkt. Tymczasem zamiast poprawy się skiepściło. PMI spadł do 47,1 pkt. To oznacza najniższy poziom od kilku miesięcy. Szczegóły raportu pokazują, że problemem są przede wszystkim malejące nowe zamówienia. Firmy informują o słabszym popycie zarówno w kraju, jak i za granicą. Spada też eksport, który dla wielu branż pozostaje podstawą działalności. W rezultacie przedsiębiorstwa ograniczają produkcję i niepewnie patrzą na przyszłość. I to właśnie jest najciekawsza wiadomość z lutowego PMI. Nie tylko dlatego, że wskaźnik spadł, ale także dlatego, że spadł wbrew prognozom tych, którzy spodziewali się poprawy.

● Ale co tam PMI, wszak jak wynika z danych GUS, „w ujęciu rocznym jest lepiej, niż się spodziewano", choć jednocześnie produkcja przemysłowa potrafi rozczarować. Bo spadła rok do roku o ponad 2 proc., choć ekonomiści liczyli na wzrost. Miesiąc wcześniej było niewiele lepiej. A jednocześnie słyszymy, że PKB rośnie. W jednym kwartale o 2 proc., w innym o 3 proc. W komunikatach pojawiają się sformułowania w rodzaju „gospodarka przyśpiesza" i „Polska wśród liderów wzrostu w UE". Brzmi to tak, jakbyśmy rzeczywiście płynęli, podczas gdy reszta Europy tonie. Problem polega na tym, że przedsiębiorcy tak tego nie widzą. W badaniach koniunktury publikowanych przez GUS odsetek firm przemysłowych oceniających swoją sytuację jako złą potrafi sięgać kilkunastu procent. Jeśli produkcja przemysłowa spada o 2 proc., a nowe zamówienia nie rosną, to trudno oczekiwać, że biznes z dnia na dzień zacznie inwestować miliony złotych w nowe linie produkcyjne. Inwestycje prywatne w ostatnich kwartałach bywały słabsze, a firmy otwarcie mówiły o niepewności. Rząd lubi powtarzać, że Polska jest w dobrej kondycji makroekonomicznej. To brzmi poważnie i uspokajająco. Tylko że dla właściciela fabryki ważniejsze jest, czy ma zamówienia na kolejne 12 miesięcy, a nie to, czy PKB wzrósł o 2,3 proc. zamiast o 2,1 proc. Powstaje więc pytanie, komu wierzyć. Statystyce, która pokazuje wzrost gospodarczy i spadającą inflację? Czy przedsiębiorcom, którzy w badaniach nastrojów mówią o stagnacji i niepewności?

● Politycy wszystkich opcji mówią o polskim rolnictwie z czułością. Jedni zapewniają, że to fundament bezpieczeństwa żywnościowego, drudzy przekonują, że polski rolnik wyżywi Europę. Padają słowa o tradycji, potędze i sile wsi. A tymczasem okazuje się, że kraj, który przez dekady był symbolem ziemniaczanej potęgi, coraz chętniej sprowadza kartofle z zagranicy. Z danych wynika, że tylko do Niemiec popłynęło z Polski ponad 130 mln zł za ziemniaki. I to nie w ramach eksportowego triumfu, lecz jako zapłata za import. Innymi słowy – kupujemy kartofle od sąsiadów zza Odry. I to za kwoty liczone w setkach milionów złotych rocznie, jeśli doliczyć inne kierunki dostaw. A jeszcze w latach 70. Polska produkowała ponad 40 mln ton ziemniaków rocznie. Byliśmy światowym gigantem. Dziś zbiory oscylują wokół 6–8 mln ton, czyli kilkakrotnie mniej. Areał upraw skurczył się dramatycznie, bo rolnicy uznali, że bardziej opłaca się siać coś innego albo w ogóle zrezygnować z produkcji. W ciągu kilkudziesięciu lat powierzchnia upraw ziemniaka spadła z kilku milionów hektarów do kilkuset tysięcy. Można oczywiście powiedzieć, że zmieniła się struktura konsumpcji. Statystyczny Polak zjada dziś około 90–100 kg ziemniaków rocznie, podczas gdy kilkadziesiąt lat temu było to nawet 150 kg. Tyle że nawet przy mniejszym apetycie trudno zrozumieć, dlaczego kraj o takiej tradycji musi ściągać kartofle z zagranicy. Chyba, że – mimo tych zachwytów nad polskim rolnictwem – okazuje się po prostu, że dla handlowców kartofel z Niemiec jest tańszy niż ten z naszego pola.

● Pojawił się pomysł, by najdrobniejsze monety – jedno- i dwugroszówki – wycofać z obiegu, bo ich produkcja kosztuje więcej, niż wynosi ich nominalna wartość. I podniosło się larum. Bo handel ucierpi. Bo ceny się zaokrąglą. Bo konsumenci stracą. Tymczasem liczby są bezlitosne. Koszt wybicia jednej monety o nominale 1 grosza wynosi około 5–8 groszy. Innymi słowy państwo wydaje nawet pięć, sześć czy osiem groszy, by wyprodukować coś, co oficjalnie warte jest jeden grosz. W przypadku dwugroszówek sytuacja jest podobna – koszt ich wytworzenia również mocno przekracza wartość nominalną. Rocznie do obiegu trafiają setki milionów takich monet, a łączny koszt ich produkcji idzie w dziesiątki milionów złotych. Państwo więc dopłaca do każdego grosza. I to dosłownie. Logika podpowiadałaby, że skoro coś kosztuje kilka razy więcej, niż jest warte, to należy przestać to wytwarzać. Gdyby prywatna firma produkowała towar po cenie wyższej niż jego wartość rynkowa, właściciel szybko zamknąłby linię produkcyjną. Ale kiedy chodzi o pieniądz emitowany przez Narodowy Bank Polski, część biznesu uważa, że należy trwać przy obecnym rozwiązaniu. Bo ceny będą zaokrąglane. Bo konsument straci na każdej transakcji. Brzmi to tak, jakby dziś ceny kończące się na 99 groszy były wyrazem troski o dobro klienta, a nie cwanym zabiegiem marketingowym. W wielu krajach Europy zrezygnowano z najdrobniejszych monet. Końcowa kwota rachunku jest zaokrąglana w górę lub w dół i świat się nie zawalił. Handel nie zbankrutował. Konsumenci nie zbiednieli masowo. U nas jednak broni się grosza jak niepodległości. Kuriozum polega na tym, że przedsiębiorcy, którzy na co dzień apelują o racjonalne wydatki publiczne i ograniczanie marnotrawstwa, w tej sprawie wolą, by państwo nadal produkowało monety po kosztach pięciokrotnie wyższych niż ich wartość. A ogromna część tych monet nie wraca do obiegu. Leżą w słoikach, szufladach, skarbonkach. Zamiast krążyć w gospodarce, znikają w domowych zakamarkach, co wymusza produkcję kolejnych partii. System sam napędza własną nieracjonalność. Tymczasem prawda jest taka, że za 1 grosz nie kupimy dziś nic. Nawet plastikowa torba kosztuje kilkadziesiąt razy więcej. Realna siła nabywcza tej monety jest żadna.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

● Obrona groszy przestaje dziwić, gdy spojrzy się na stosunek wejścia Polski do strefy euro. Tu Polacy bronią złotówek i groszy jak niepodległości. W sondażach poparcie dla wspólnej waluty rzadko przekracza 30–40 proc., a przeciwników bywa wyraźnie więcej. Jednocześnie przedsiębiorcy w badaniach coraz częściej przyznają, że euro ułatwiłoby im życie. Mamy więc ciekawy rozdźwięk między emocją a rachunkiem ekonomicznym. W przestrzeni publicznej od lat powtarza się zdanie, że złoty to fundament niepodległości. Brzmi to dumnie. Tyle że Niemcy nie przestały być Niemcami, gdy zniknęła marka. Włochy nie utraciły tożsamości, gdy lira zastąpiło euro. Bułgaria weszła do strefy euro i nikt tam nie ogłasza końca suwerenności. My tymczasem trzymamy się złotówki jak relikwii. I jednocześnie masowo wymieniamy ją na euro. Wystarczy spojrzeć na dane. Polacy mają dziesiątki miliardów euro w gotówce i na rachunkach walutowych. Każdego roku w kantorach i bankach wymieniane są miliardy złotych na wspólną walutę. Każda taka operacja oznacza spread, czyli różnicę między kursem kupna i sprzedaży. Zwykle to 2–4 proc. Jeśli ktoś wymienia 10 tys. zł i oddaje 3 proc. różnicy, to 300 zł trafia do instytucji finansowej. Setki milionów złotych rocznie zostawianych bankom tylko dlatego, że wolimy mieć dwie waluty zamiast jednej. Jednocześnie słyszymy, że złoty daje nam niezależność. Tyle że ta niezależność ma cenę. W Polsce oprocentowanie kredytów mieszkaniowych w ostatnich latach sięgało 6–7 proc., a oprocentowanie nowych kredytów hipotecznych przekraczało 7–8 proc. W krajach strefy euro, kredyty mieszkaniowe kosztowały 2–4 proc. Różnica kilku punktów procentowych przy kredycie na 400 tys. zł na 25–30 lat oznacza nawet kilkaset tysięcy złotych więcej do oddania bankowi. W imię hasła o „fundamencie niepodległości" Polacy wolą płacić więcej za kredyty i jeszcze dopłacać bankom przy każdej wymianie waluty.

TTJ

eprasa.pl 69f3f167e1

Święto nienawiści

Na prawdę o „wyklętych” jeszcze poczekamy

Tegoroczne obchody Dnia Żołnierzy Wyklętych wyglądały skromnie, zostały przygłuszone wojennym zgiełkiem z Ukrainy i Iranu. Pewien zastrzyk radykalizmu otrzymało to święto dzięki awansowi głównego jego patrona, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, ku godności prezydenta RP. I wskutek jego wystąpień z tej okazji.

Święto to ustanowiono w 2011 r., 65 lat po zakończeniu II wojny światowej, wspólnym wysiłkiem obu zwalczających się frakcji obozu posolidarnościowego: z inicjatywy Lecha Kaczyńskiego przejętej przez Bronisława Komorowskiego. Tę inicjatywę stopniowo zagospodarowały bez reszty prawica, PiS i Konfederacje. Pozostała część sceny politycznej milcząco zdystansowała się, ale też nie podjęła polemiki z treściami ideologicznymi tego święta.

Polemikę taką prowadzi samotnie kilku wybitnych historyków. Ideologia, jaka dziś otacza ten „dzień pamięci”, coraz bardziej koliduje z historyczną prawdą, a także z narodowymi racjami współczesnej Polski. Pozory w tym przypadku zdecydowanie pożerają rzeczywistość. Apologeci „wyklętych” wielbią ich patriotyzm i ofiarność. A jaka była rzeczywistość?

Jałowe szkodnictwo, destrukcyjny bandytyzm

U genezy tego poakowskiego podziemia leżała niesubordynacja i warcholstwo, zakorzenione od lat w polskiej szlacheckiej mentalności. Opisali je dokładnie historycy. Odwołajmy się do opinii wybitnych znawców problemu, Sławomira Poleszaka z ISP PAN oraz Rafała Wnuka z Uniwersytetu Lubelskiego, z artykułu „Droga Rzepeckiego”: „17 maja 1945 r. Rada Jedności Narodowej oraz p.o. Delegata Rządu na Kraj wydali odezwę »Do narodu polskiego!«. Jeden z fragmentów był skierowany bezpośrednio do partyzantów: »Nie dajcie się sprowokować do zbrojnej walki. Nie może ona obecnie przynieść żadnej korzyści celom, do których zmierzamy, a narazi zapalne, a niekiedy najbardziej wartościowe jednostki spośród nas, na zgubę. Wzywamy młodzież, która przed masowymi prześladowaniami i aresztami schroniła się do lasu, by starała się wrócić do normalnego życia i produkcyjnej pracy, tam, gdzie może. Pobyt Wasz w lesie stał się już pretekstem do krwawych pacyfikacji. Czeka Was zguba, a Waszym głównym przeznaczeniem jest żyć i pracować dla Ojczyzny, a nie ginąć bez żadnej dla Niej korzyści«”.

27 maja w nowej wspólnej odezwie przewodniczący RJN Stefan Korboński z płk. Janem Rzepeckim (od 7 maja 1945 r. szef Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj) zwrócili się bezpośrednio do żołnierzy oddziałów leśnych: „Musicie jasno zdawać sobie sprawę, nie jest dziś czas na walkę zbrojną, że rząd Rzeczypospolitej wyraźnie nakazał rozwiązanie AK, że walki zbrojnej przeciw obecnej okupacji nie zarządził i nie zalecił, oceniając ją jako szkodliwą, a do regulowania innych spraw wojskowych ustanowił Delegata Sił Zbrojnych na Kraj”. W dalszej części uprzedzali przed prowokacjami ze strony służb komunistycznych, a także przestrzegali, aby nie wierzyć „działającym samowolnie Polakom lekkomyślnym, choć patriotycznie nastawionym, jeśli namawiają Was na partyzantkę”. Wydawali polecenie podporządkowania się trudnemu rozkazowi prezydenta Rzeczypospolitej i naczelnego wodza, a w ostatnim fragmencie pisali: „wracajcie do pracy nad odbudową Kraju, zachowujcie ostrożność potrzebną, by nie narazić się na zdradzieckie prześladowania”…

W ostatnim tygodniu lipca 1945 r. płk Rzepecki rozesłał w teren odezwę „Do żołnierzy byłej Armii Krajowej”, w której po raz kolejny zwracał się do partyzantów, aby dążyli do zakończenia swojej walki. Posługiwał się w niej bardzo ostrą retoryką, przestrzegał „leśnych”, aby nie dawali „posłuchu namawiającym Was do jałowego szkodnictwa, do tworzenia zbrojnych oddziałów, do destrukcyjnego bandytyzmu politycznego”. Identyczne było stanowisko rządu emigracyjnego i ówczesnego wodza naczelnego gen. Władysława Andersa. Do poniechania walki zbrojnej wzywali zatem wszyscy: nowo powstały Rząd Jedności Narodowej z udziałem Stanisława Mikołajczyka oraz – z odmienną motywacją – władze polskie na emigracji, cywilne i wojskowe. Apelu płk. Rzepeckiego posłuchała tylko część podziemia, ta poakowska. Inna – bardzo wtedy liczna – wywodząca się z Narodowych Sił Zbrojnych, apel ten zlekceważyła, gdyż nigdy nie uznawała jurysdykcji rządu emigracyjnego i państwa podziemnego.

Unwersytety zamiast powstań

Inna cechą ideologii poakowskiego podziemia było negowanie wartości państwa zależnego i walka z nim bez brania pod uwagę skutków. Prezydent Nawrocki wśród zasług „żołnierzy wyklętych” na pierwszym miejscu wymieniał walkę ze zdradzieckimi komunistami. Potępiał w ten sposób PPR, która współpracując ze Związkiem Radzieckim, brała na siebie odpowiedzialność za Polskę Ludową.

Oskarżający ówczesną lewicę o zdradę nie zastanawiają się nad tym, jaka była alternatywa. Zdają się sądzić, że bez PPR i jej sojuszników przetrwałaby Polska w pełni suwerenna. W rzeczywistości alternatywą była republika radziecka lub zarządzana przez „popów” – „pełniących obowiązki Polaka”.

Tym mianem żołnierze w berlingowskim wojsku żartobliwie określali oficerów Rosjan delegowanych do tego wojska. W odróżnieniu od „ruskich Polaków” jak Rokossowski czy Popławski. Tylko taka była alternatywa w czasach Jałty i Poczdamu.

Negowanie wartości państwa zależnego i niszczenie tego państwa ma długą i niechlubną tradycję w polskich dziejach. Od konfederacji barskiej, która spowodowała pierwszy rozbiór poprzez kolejne bunty przeciw zależności Polski, aż po powstanie styczniowe, którego skutkiem była doszczętna likwidacja autonomii Królestwa. Dmowski taką pseudopatriotyczną strategię piętnował jako przestępstwo.

Zresztą w 1945 r. takich „zdrajców” jak komuniści z PPR było dużo więcej. Profesor Tadeusz Manteuffel – weteran i inwalida z 1920 r., zasłużony oficer AK – gdy podwładny i przyjaciel uniwersytecki Aleksander Gieysztor zwrócił się do niego o radę, czy przyjąć propozycję płk. Rzepeckiego i przystąpić do WiN, odrzekł: „Powiedz Rzepeckiemu, że my teraz nie robimy powstania, my teraz robimy uniwersytet!”.

Nagi trup Leonidasa

Szczególna i przez wielu uważana za chwalebną cecha ideologii „wyklętych” to ofiarność posunięta do straceńczej gotowości na śmierć dla dania świadectwa, dla idei, bez baczenia na szanse i konsekwencje. Nie wywodzi się ta cecha z polskiej tradycji, lecz z romantyzmu. To romantycy wielbili heroizm straceńców.

Posłuszny temu uwielbieniu Sienkiewicz w „Trylogii” uśmiercił Wołodyjowskiego w heroicznym akcie samobójstwa rycerza wysadzającego się w powietrze wraz z twierdzą w Kamieńcu. Rzeczywistość wyglądała inaczej: prochownia w twierdzy wybuchła wskutek przypadku, historyczny zaś Wołodyjowski (Jerzy, a nie Michał) rzeczywiście zginął w obronie Kamieńca – ale od ran spowodowanych wybuchem artyleryjskiego kartacza.

Romantycy, a wśród nich nasz Juliusz Słowacki, ożywili też starożytną legendę Termopil w wersji przekazanej przez Herodota, według której spartański król Leonidas kazał swoim 300 rodakom zginąć w straceńczej bitwie tylko dla nieśmiertelnej sławy. Współczesna historiografia widzi to inaczej. Według monografii „Persowie” Lloyda Llewellyna-Jonesa decyzje spartańskiego króla były racjonalne. Na czele 800-osobowego oddziału, w tym 300 Spartan, usiłował spowolnić marsz 100-tysięcznej armii perskiego króla Kserksesa na Ateny, zatrzymując ją w termopilskim przesmyku między morzem a skałami (w owym czasie szerokim na 20 m). Było to możliwe, gdyż w takim przesmyku armia perska nie mogłaby się rozwinąć. Gdy zwiadowcy mu donieśli, że Kserkses dowiedział się o górskiej ścieżce pozwalającej obejść Termopile i wysłał na nią silny hufiec nieśmiertelnych, Leonidas postanowił się wycofać. Najpierw odesłał 500 greckich sprzymierzeńców, a ze swoimi 300 Spartanami miał pójść w tylnej straży. Niestety, nie zdążył, jego oddział został otoczony oraz – zgodnie z ówczesnymi obyczajami wojny – wybity do nogi. Zresztą Spartanie z zasady nie szli do niewoli, podobnie jak Japończycy w czasie II wojny światowej.

Ze strony Leonidasa to nie było rozszerzone samobójstwo. Wojna dopiero się zaczynała. Po Termopilach (sierpień 480 r. p.n.e.) Kserkses zdobył i spalił Ateny, ale zaraz potem stracił całą flotę w bitwie pod Salaminą. Prawie rok z armią lądową bezskutecznie usiłował podbić Grecję. Wreszcie zniechęcony powrócił do Persji, pozostawiwszy armię w Grecji pod wodzą zaufanego generała. W sierpniu 479 r. pod Platejami zjednoczone siły greckich polis dowodzone przez spartańskiego króla Pauzaniasza rozgromiły Persów, wybijając im z głowy podbój Grecji na zawsze.

Legenda do zapomnienia

Szczególnie niechlubną cechą „poakowskiego podziemia” była krańcowa ksenofobia. Najliczniejsze jego ofiary to nie „komuniści”, lecz chłopi z ukraińskich lub białoruskich wiosek na wschodzie Polski (np. 190 osób, w większości kobiet i dzieci, we wsi Wierzchowiny w Lubelskiem w czerwcu 1945 r., czy dziesiątki ofiar „Burego” na Podlasiu) oraz szacowani na blisko 1000 ofiar żydowscy ocaleńcy z Holocaustu (vide: dziennik bojowy „Ognia”). Można zrozumieć, dlaczego tę ksenofobię wielbią PiS i Konfederacje – trudniej pojąć, że nie przeszkadza ona „demokratom” z Platformy Obywatelskiej…

Legenda „żołnierzy wyklętych” nie wytrzyma próby czasu. Jest zbyt kłamliwa i zbyt szkodliwa wychowawczo. Zakwestionuje ją wcześniej czy później profesjonalna naukowa historiografia. Lepiej byłoby, aby wcześniej; mniej szkód wyrządzi i mniej zamętu w głowach zasieje.

Dotyczy to również dziejów Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, przy okazji też solidnie zakłamanych. W propagandzie IPN to zrzeszenie urasta do rangi wielkiej powstańczej organizacji, antyradzieckiej i antykomunistycznej. W rzeczywistości Zrzeszenie WiN – w zamiarze jego twórcy płk. Jana Rzepeckiego – nie miało przewodzić walce powstańczej, lecz odwrotnie: wygasić partyzancką wojnę przeciw Polsce Ludowej. Powstało na bazie organizacyjnej i materialnej Armii Krajowej i tylko w tym sensie było jej kontynuacją. Wobec nowego ustroju Polski było w istocie pojednawcze. Nie popierało tego ustroju, lecz realistycznie i w dobrze pojętym interesie narodu rezygnowało z walki zbrojnej o jego obalenie.

Walka ta rzeczywiście wygasła, ale nie za sprawą WiN; była zbyt beznadziejna, aby trwać, zdrowy rozsądek kazał jej poniechać. Państwo utworzone na podstawie Jałty i w zgodzie z nią nie wyszło niestety WiN-owi na spotkanie.

Owszem, chciał to zrobić Gomułka w 1945 r., ale mu się nie udało. Zaproponował Rzepeckiemu bezpieczne spotkanie – ten jednak odmówił. Był gotów spotkać się z ówczesnym wicepremierem Mikołajczykiem, ale ten z kolei nie zgadzał się na spotkanie z nielegalnikiem. W rezultacie po kilku tygodniach Rzepecki „spotkał się” z szefem departamentu śledczego MBP jako więzień – i natychmiast zaapelował do podziemia o ujawnianie się. Z przekonania i bez przymusu.

Kolejne zarządy WiN szły mniej więcej podobną drogą. Bardziej niezłomny okazał się zarząd czwarty – i dramatycznie zginął w ogniu sądowo-policyjnych represji. Ale to był szczyt stalinowskiego despotyzmu w Polsce, Gomułka stracił władzę i siedział w więzieniu.

Warto zwrócić uwagę na to, że poza czwartym zarządem WiN pozostałe przeżyły stalinizm. Po 1956 r. również ci uwięzieni znaleźli się na wolności. Część pozostała aktywna politycznie, jedni po stronie władzy, inni po stronie opozycji. Prezes pierwszego zarządu płk Rzepecki prowadził działalność naukową, jego współpracownik Jan Mazurkiewicz „Radosław” czynny był w organizacji kombatanckiej, po latach awansował na generała brygady w stanie spoczynku. Inny współpracownik Józef Rybicki działał politycznie w opozycji, ale już więziony nie był. Taka była Polska Ludowa.

M.Z.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 69f3f167e1

Irańska gra w krzesła

Kto po ajatollahach?

Rys. WŁADYSŁAW MICKIEWICZ

prezydent USA i premier Izraela wykorzystują gniew Irańczyków wobec reżimu, żeby narzucić nowy porządek na Bliskim Wschodzie bez troski o interesy Iranu.

Zabicie Alego Chameneiego przez Trumpa awansowało islamskiego zbrodniarza na męczennika, co zmiękczy jego brutalne dziedzictwo, wzmocni poparcie wśród radykałów i skłoni wielu umiarkowanych Irańczyków do obrony systemu. Jaką wizję nowej władzy w Iranie próbują sprzedać najeźdźcy?

„Nie będzie żadnego porozumienia z Iranem poza bezwarunkową kapitulacją! Po tym oraz po wyborze wielkiego i akceptowalnego przywódcy (przywódców) my, wraz z wieloma naszymi wspaniałymi i bardzo odważnymi sojusznikami i partnerami, będziemy niestrudzenie pracować, by przywrócić Iran z krawędzi zniszczenia, czyniąc go ekonomicznie większym, lepszym i silniejszym niż kiedykolwiek wcześniej. Iran będzie miał wielką przyszłość. *Make Iran Great Again* (MIGA!)" – zawyrokował Donald Trump w swoich social mediach.

Rotacja

Przebywający w Stanach Zjednoczonych Reza Pahlawi, syn obalonego w 1979 r. szacha Iranu, zwrócił się do przywódców państw arabskich Bliskiego Wschodu z apelem o wsparcie dla rządu przejściowego, który rzekomo stara się powołać. Tymczasem członkowie Wielkiego Zgromadzenia Ekspertów w Iranie wybrali nowego przywódcę – został nim Modżtaba Chamenei. Irańczycy są podzieleni w swoich sympatiach, ale nic nie wskazuje na to, żeby władza z importu mogła bezboleśnie zaimplementować się w Teheranie.

Pahlawi utrzymuje, że do wypełnienia misji przywódczej po odejściu reżimu wezwał go sam naród irański, a on postanowił wziąć na siebie tę odpowiedzialność. W niedawnej rozmowie z Fox News ocenił, że nadszedł czas na bardzo silne i stabilne przemiany. Jednocześnie przekonywał, że nie zależy mu na byciu królem ani prezydentem. To akurat nieco rozjeżdża się z planem reform jego autorstwa. W kwietniu 2025 r. książę przedstawił w Waszyngtonie „Projekt Dobrobytu Iranu", w której to prezentacji rozrysował różne aspekty demokratycznej transformacji ojczyzny. Zakłada on powstanie nowego rządu, którego przyszła forma będzie albo monarchią konstytucyjną, albo pełną republiką, co zostanie ustalone w uczciwym referendum i zdecydowanie nie gumkuje jego aspiracji do stołka. Z założenia w obu przypadkach rząd będzie świecki. Ponadto w ciągu pierwszych 180 dni od obalenia rządów ajatollahów dojdzie do przywrócenia stabilności gospodarki przez sprywatyzowanie jej sektorów kontrolowanych dotąd przez reżim. Nowe rządy mają przyciągnąć inwestycje zagraniczne i lepiej gospodarować bogactwami naturalnymi kraju. Iran przestanie topić miliardy dolarów na wsparcie dla Hamasu, Hezbollahu czy Hutich, co stworzy podwaliny do jego powrotu na rynki międzynarodowe. Budowa struktur demokratycznych zajmie 2–3 lata.

W marcowym wywiadzie dla „60 Minutes" w CBS Pahlawi stwierdził, że ma mandat milionów Irańczyków, a wojsko przejdzie na stronę ludu. Na łamach „The Washington Post" dodał: „W przeciwieństwie do irańskiego reżimu, który nienawidzi Ameryki, Irańczycy ją kochają. Są wdzięczni za tę wyjątkową szansę na wolność, którą im dano". Otóż niekoniecznie. Owszem, syn ostatniego szacha Iranu ma dużą rozpoznawalność i jakieś poparcie, ale jednocześnie sporą i głośną grupę przeciwników zarówno wewnątrz kraju, jak i poza nim.

Romanse władzy

Eksperci m.in. z niezależnej organizacji International Crisis Group (działającej na rzecz zapobiegania i rozwiązywania śmiercionośnych konfliktów na świecie) podkreślają, że Pahlawiemu brakuje szerokiej akceptacji poza monarchistami, co nie wróży dobrze budowaniu silnej bazy organizacyjnej wewnątrz kraju. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest kilka.

Jednym z głównych argumentów przeciwników powrotu Rezy Pahlawiego jest wciąż żywa pamięć o brutalnych rządach jego ojca Mohammada Rezy Pahlawiego, którego dyktatorską karierę i repertuar opisała na łamach „NIE" (nr 10/2026) Agnieszka Wołk-Łaniewska. Pahlawi junior ma 65 lat, Iran opuścił jako nastolatek. Przez 47 lat nie zbudował żadnej realnej struktury opozycyjnej. W 1980 r., po śmierci ojca, ogłosił się szachem Iranu, nadając sobie tytuł „Reza Szah II". W 2013 r. w Paryżu założył Irańską Radę Narodową – polityczną organizację, której celem było zjednoczenie różnych grup opozycyjnych wobec Islamskiej Republiki Iranu. Rada promowała wizję Iranu po ajatollahach i apelowała do społeczności międzynarodowej o wsparcie dla opozycji. W 2017 r. Pahlawi wymiksował się z przedsięwzięcia, co uzasadnił potrzebą większej niezależności w działaniu, bez ograniczeń jednej struktury. Rada obrosła kurzem, a następca tronu na wygnaniu zaczął intensywnie się macać z Binjaminem Netanjahu.

W 2023 r. Reza Pahlawi wraz z małżonką odbył kilkudniową oficjalną wizytę w Izraelu. Spotkał się wówczas z prezydentem Icchakiem Herzogiem, minister wywiadu Gilą Gamliel i samym premierem. Wizyta była szeroko relacjonowana jako historyczna. Pahlawi modlił się przy Ścianie Płaczu i opisywał Iran i Izrael jako „dwie jedyne nacje na świecie z biblijnym związkiem".

Wybór Zofii

Bliskie związki samozwańczego szacha z Binjaminem Netanjahu nie podobają się przeciwnikom irańskiego reżimu. W zamian za izraelskie i amerykańskie wsparcie w okresie przejściowym Pahlawi obiecał m.in. denuklearyzację Iranu. Krytycy widzą w tym (i słusznie) przehandlowanie suwerenności i uzależnienie (o ironio) od zachodnich gwarancji bezpieczeństwa. Biznesowe ustawki z Bibim i Trumpem nie leżą też części rozproszonej irańskiej opozycji. Antyreżimowi Irańczycy postrzegają te ruchy jako kolaborację z wrogiem i zdradę irańskich sympatii do Palestyńczyków dla osobistej ambicji powrotu do władzy. Irańska działaczka na rzecz praw człowieka Mehrangiz Kar wyraziła obawę, że Pahlawi natomiast to tylko marionetka, która ma osłabić formowanie autentycznej opozycji w kraju. Wszystkie te zabiegi ułatwią Izraelowi dominację regionalną.

W podobnym tonie wypowiedziała się kurdyjska aktywistka, doktor nauk politycznych i stosunków międzynarodowych Hawzhin Azeez. „Wojna została narzucona ludziom pod pretekstem ich wyzwolenia, które nie ma w sercu ani demokracji, ani interesów narodu irańskiego. To wyzwolenie, które – jak widzieliśmy w Iraku i Afganistanie – posługuje się językiem wolności kobiet, by narzucić marionetkowego dyktatora w osobie Rezy Pahlawiego. (…) Prodemokratyczni ludzie Iranu, długo cierpiące mniejszości, kobiety i dziewczęta Iranu zasługują na coś lepszego niż ten rezultat" – napisała na swojej stronie internetowej.

Donald Trump wielokrotnie powtarzał, że choć Pahlawi „wygląda na miłego człowieka", to nie jest przekonany, czy sprawdzi się we własnym kraju i czy własny kraj zaakceptuje jego przywództwo. Prezydent USA z jednej strony roztacza wizję, w której stołek przejmuje ktoś z obecnych elit, by po chwili stwierdzić, że wszystkich ukatrupił, więc nie ma wielkiego wyboru, czym jak zwykle pokazuje brak spójnej strategii. Wielu Irańczyków w myśl hasła „Ani szach, ani mułłowie" wolałoby postawić na prawdziwą republikę demokratyczną bez monarchistycznego brandingu. Zdaje się jednak, że w przypadku faktycznego upadku reżimu ani Trumpa, ani samych zainteresowanych nikt nie będzie pytał o zdanie.

IDALIA DUBICKA

Polityka kadrowa Trumpa to igranie z bezpieczeństwem USA

Fabryka małp

Na przedprożu III wojny światowej w rozrywkowej części internetu pojawił się nowy viralowy trend. Obywatele z różnych części świata nagrywają krótkie filmy, w których deklarują, że nie boją się o bezpieczeństwo, kiedy strzegą ich tuzy lokalnej polityki. Dla potwierdzenia pokazują ministrów, posłów i głowy państw w sytuacjach dalekich od powagi urzędu. Takie niewinne żarciki. Do śmiechu i to całkiem serio nie powinno być za to Amerykanom. Szefem grupy zadaniowej ds. zapobiegania terroryzmowi w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego USA jest były kasjer ogrodnik, a samym departamentem będzie wkrótce kierował ekszawodnik MMA i hydraulik.

Bierny, ale wierny

W ocenie amerykańskich służb, ekspertów i zwyczajnego ludzkiego rozsądku atak na Iran wywindował zagrożenie terrorystyczne w USA. Wachlarz możliwości zachwiania poczuciem bezpieczeństwa za oceanem jest szeroki: ukierunkowane ataki cybernetyczne, zwiększone ryzyko mobilizacji samotnych wilków lub ekstremistów, wreszcie wyskoki motywowane antyizraelskimi sentymentami. Administracja Trumpa może mieć nie lada kłopot z ochroną kurnika przed lisem.

W ramach Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego USA funkcjonuje komórka CP3 – Centrum Programów i Partnerstw Prewencyjnych. Misją tej jednostki organizacyjnej jest zapobieganie terroryzmowi i ukierunkowanej przemocy. „CP3 traktuje przemoc jako problem, któremu można zapobiegać na poziomie społeczności, rodziny i jednostki, budując czynniki ochronne i zmniejszając ryzyko" – tak się przynajmniej reklamuje. Rzeczywistość pozostawia jednak wiele do życzenia.

Na półmetku kadencji Joe Bidena dyrektorem centrum został mianowany Bill Braniff. Za nominacją przemówiły jego kwalifikacje eksperckie i dziesięciolecia doświadczenia w zakresie bezpieczeństwa narodowego. Absolwent akademii wojskowej w West Point i stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Hopkinsa był m.in. specjalistą ds. zagranicznych w NNSA (agencji ds. bezpieczeństwa nuklearnego w Departamencie Energii) i dyrektorem Krajowego Konsorcjum ds. Badań nad Terroryzmem i Reakcjami na Terroryzm (START) na Uniwersytecie Maryland – długo by wymieniać. W marcu 2025 r. odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu Bill Braniff niespodziewanie zrezygnował ze stołka. W ramach rzeźnickich cięć federalnych inspirowanych przez słynne DOGE z udziałem Elona Muska w jeden weekend za pośrednictwem e-maila zwolniono ośmiu pracowników CP3. Braniff uznał, że w ramach protestu i solidarności z usuniętymi kolegami złoży rezygnację. Liczył, że wypowiedzenia zostaną anulowane, kiedy nowa trumpowska miotła uświadomi sobie konsekwencje nieprzemyślanych decyzji. Tak się jednak nie stało. Redukcja personelu postępowała w najlepsze, a na czele okrojonego zespołu postawiono 22-letniego Thomasa Fugate'a, Próżność polityków daje pewne wyobrażenie o nieskończoności, jeśli przyjrzeć się jego CV. Szefem kluczowego programu prewencji terroryzmu w USA został świeży absolwent Uniwersytetu Teksańskiego w San Antonio (kierunek prawo i polityka), który doświadczenie zawodowe nabył, pracując jako ogrodnik i asystent w sklepie spożywczym. Oba zawody to wartościowa i ciężka praca, ale o awansie jak zwykle zadecydowały znajomości. Fugate załapał się na staż w jednym z najważniejszych konserwatywnych think tanków USA – Heritage Foundation. Nie mogło być inaczej. Na Instagramie

Fugate twierdził, że jego polityczne przebudzenie nastąpiło, kiedy jako 13-latek „w pokoleniu pozbawionym nadziei, możliwości i szczęścia, dostrzegł w jednym człowieku zdolność do prawdziwej i trwałej zmiany" – chodziło oczywiście o Donalda Trumpa.

Młody stażysta zaangażował się w kampanię prezydencką, a jego poddańczość została nagrodzona.

CP3 z prężnej jednostki koordynującej krajowe zapobieganie ekstremizmowi, terrorowi i strzelaninom szkolnym zamieniło się w kadrowo zminimalizowaną wydmuszkę pozbawioną grantów i nowych programów. DHS uznało, że priorytetem jest kwestia nielegalnej imigracji, walka z „agendą woke" i ideologią genderyzmu. W tym zakresie raczej też się nic nie zmieni.

Beton boy

Donald Trump ogłosił, że z końcem marca szefem Departamentu Ochrony Bezpieczeństwa Krajowego zostanie republikański senator z Oklahomy Markwayne Mullin. Oficjalnie pełniąca aktualnie obowiązki sekretarza bezpieczeństwa krajowego Kirsti Noem zostanie specjalną wysłanniczką ds. Tarczy Ameryk, nowej inicjatywy bezpieczeństwa (czymkolwiek będzie). Nieoficjalnie DHS przepuścił 220 mln dol. podatników na ogólnokrajową kampanię reklamową promującą samodzielne opuszczanie kraju przez nielegalnych imigrantów, w której to kampanii najbardziej była widoczna sama Noem. W zeznaniach przed Kongresem szefowa DHS twierdziła, że prezydent osobiście zatwierdził projekt, czemu Donald Trump niestety zaprzeczył.

Markwayne Mullin to biznesmen (usługi środowiskowe, przedsiębiorstwo hydrauliczne, restauracja), ranczer i były zawodnik wrestlingu i MMA. Trudno powiedzieć, czy w odróżnieniu od poprzedniczki będzie umiał zachować dyscyplinę finansów DSH. W ubiegłym roku wyszło na jaw, że w dokumencie ujawniającym informacje finansowe na temat własnych firm zapomniał wspomnieć o wielomilionowych inwestycjach. Zdarza się…

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mullin to wierny żołnierz MAGA i najbardziej konserwatywny członek senatu. Popierał narrację Trumpa o ukradzionych wyborach i wiernie głosował za wszystkimi nominacjami prezydenta USA. Jest zwolennikiem twardej polityki migracyjnej, promował np. wydalanie urodzonych w Stanach Zjednoczonych dzieci, których rodzice przebywają tam nielegalnie. Deklaruje silne wsparcie dla Izraela. W wypowiedziach publicznych zdarzyło mu się pomylić Iran z Irakiem, ale jest jednym z największych entuzjastów unicestwienia Teheranu i okolic.

Senator zdecydowanie sprzeciwia się ograniczeniu dostępu do pukawek. W ubiegłym roku w jednym z wywiadów powiedział, że gdyby można było strzelać do dziennikarzy, byłoby mniej fake newsów. Agent ICE, który zabił 31-letnią Renee Good, strzelając jej trzykrotnie w twarz – według Mullina – nie miał wyjścia, bo samochód, którym się poruszała, był śmiertelną bronią. Jak to leciało? *God save America?*

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl 69f3f167e1

W imię Jezusa i Donalda

Amerykańsko-izraelska krucjata

Czy amerykańsko-izraelski atak na Iran to wojna o ropę i gaz? Nie do końca. Oczywiście, Waszyngton i Tel Awiw chętnie położyłyby rękę na perskich węglowodorach – ale prawdziwych powodów nielegalnej napaści trzeba chyba szukać gdzie indziej: w fanatyzmie amerykańskich ewangelikanów (nie mylić z liberalnymi europejskimi ewangelikami) i chrześcijańskich syjonistów. Te nachodzące na siebie grupy polityczno-religijne od lat żądały świętej wojny przeciwko muzułmanom – i wreszcie się jej doczekały.

Niczym Sherlock Holmes wyjaśniający doktorowi Watsonowi poszlaki prowadzące nieuchronnie do zbrodniarzy – bo ten atak jest zbrodnią wojny napastniczej w kategoriach prawa międzynarodowego – postaram się pokazać świat, w którym ideologia religijna pożarła realia.

Oczywiście, jak zwykle mamy do czynienia z zachowaniem z gatunku „łapaj złodzieja": zaraz po napaści na Iran sekretarz stanu Marc Rubio stwierdził, że jej celem byli „radykalni duchowni szyiccy", podejmujący decyzje geopolityczne w oparciu o „czystą teologię".

Trump wysłannikiem Boga

W ciągu pierwszych dni wojny – ochrzczonej fantazyjnie „Epicka Furia" – organizacja Military Religious Freedom Foundation (MRFF) zajmująca się ochroną wolności religijnej amerykańskich żołnierzy otrzymała dziesiątki skarg. Liczni dowódcy tłumaczyli podwładnym, że działania wojskowe to część „Bożego planu", a Trump został „namaszczony przez Jezusa, aby zapalić sygnałowy ogień w Iranie", aby „spowodować armagedon", który poprzedzi nadejście mesjasza. Dowódcy znajdują się dosłownie w stanie ekstazy, wierząc, że realizują plan nakreślony w biblijnej Księdze Objawienia.

Korzeni tego szaleństwa – czytamy w lewicowym magazynie „Jacobin" – doszukiwać się można w latach 30. XIX w., kiedy anglo-irlandzki kaznodzieja John Nelson Darby orzekł, że dzieje ludzkości rozwijają się w Piśmie Świętym w siedmiu odrębnych boskich „dyspensacjach" – czyli okresach, w których Bóg traktuje człowieka w różny sposób: od Adama i Ewy przez potop po ukrzyżowanie i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa itd. Siódma i ostatnia epoka – epoka Królestwa – osiągnie punkt kulminacyjny w okresie globalnych wstrząsów, kiedy to wierzący zostaną w magiczny sposób przeniesieni do nieba. Następnie ziemia wpadnie w ręce Antychrysta, po czym Jezus powróci i będzie rządził nowym rajem na Ziemi przez tysiąc lat.

W USA niezwykle wpływowe stało się podejście, które utożsamiało przepowiednię biblijną ze współczesną geopolityką, wzmocnione dodatkowo przez bestseller z 1970 r. „Późna wielka planeta Ziemia" Hala Lindseya. Autor przekonuje, iż powstanie w 1948 r. państwa Izrael, w którego granicach znalazła się z czasem Jerozolima, sygnalizuje zbliżający się koniec świata. Koncepcja ta okazała się zaskakująco popularna w Ameryce zmęczonej wstrząsami lat 60., Wietnamem i rewoltami miejskimi.

Tu pojawia się Księga Ezechiela opisująca koalicję narodów – wedle „znawców" chodzi o Rosję, Turcję i Iran – najeżdżającą Izrael w „wojnie Goga i Magoga". Lindsey przypuszczał, że armagedon nadejdzie za prezydentury Ronalda Reagana; w końcu Reagan określał Związek Radziecki mianem Imperium Zła, a naczyniak na głowie Gorbaczowa był znamieniem szatana…

Nie przyszedł – ale jak przystało na fanatyków, wyznawcy końca świata nie dali się speszyć faktom i przygotowali wersję B. W latach 90. wyrażała ją seria horrorów chrześcijańskich „Nocny złodziej" opowiadająca o losach bohaterów, którzy nie zostali zabrani do nieba i muszą przyjąć „znak bestii" nadany przez Organizację Narodów Zjednoczonych lub stracić głowę na gilotynie.

Kiedy ZSRR upadł, ewangelikanie pilnie potrzebowali nowego geopolitycznego wroga. Padło na teokratyczny szyicki Iran – co jest o tyle zabawne, że irańscy mułłowie nieustannie mówią o Wielkim Szatanie (USA) i Małym Szatanie (Izraelu).

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Pastor z Oklahomy Mark Hitchcock spędził długie lata, publikując maniakalne książki, które właśnie Iran obsadzają w roli centrum biblijnego scenariusza końca czasów. W „Apokalipsie Ahmadineżada" przekonywał, że irański prezydent zamierza przyśpieszyć przyjście islamskiego Mesjasza, wprowadzając w życie swoją wizję apokalipsy. Wedle „Jacobina" obecne napięcia geopolityczne mają być „idealnym przygotowaniem" do tego scenariusza, a zniszczenie istniejącego globalnego porządku jest ceną, jaką trzeba zapłacić za „natychmiastowe, nagłe wyrwanie" wiernych z rozpadającego się świata.

W otoczeniu fanatyków

Spekuluje się, że do ataku na Iran przekonały Trumpa władze izraelskie. Pamiętajmy, że już w pierwszej kadencji jego wiceprezydentem był przedstawiciel chrześcijańskich syjonistów Mike Pence. W 2018 r. odwiedził on Izrael, zapowiadając unieważnienie umów Obamy z Iranem i otwarcie ambasady USA w Jerozolimie, a także ochronę miejsc świętych dla Żydów. Lewicowo-liberalny dziennik izraelski „Haaretz" kwaśno zauważył, że „dla mesjanistycznych Żydów i ewangelikanów, takich jak Pence, przemówienie to było potwierdzeniem, że znów nadeszły doniosłe dni, pełne dźwięków uniesienia i znaków Mesjasza".

Co nie udało się w trakcie pierwszej kadencji Trumpa, postanowiono – ku radości syjonistycznych chrześcijan – zrealizować w drugiej. Po rozpoczęciu nalotów na Iran telewizyjny kaznodzieja John Hagee, założyciel organizacji Zjednoczeni Chrześcijanie dla Izraela, wygłosił głośne kazanie pod znamiennym tytułem: „Koniec dni: Operacja Epicka Furia".

Ambasador USA w Izraelu Mike Huckabee powiedział wprost, że popiera wizję „Wielkiego Izraela: od Nilu po Eufrat" – co oznacza podbicie obszarów od Arabii Saudyjskiej i Iraku przez Jordanię, Liban i Syrię aż po Egipt i Turcję. Huckabee powołuje się ni mniej, ni więcej na obietnicę daną Żydom przez Abrahama.

Wiele milionów amerykańskich syjonistycznych chrześcijan wierzy, że

ekspansja terytorialna Izraela przybliży armagedon i ponowne przyjście Królestwa Niebieskiego. Wtedy jednak wszyscy Żydzi muszą nawrócić się na chrześcijaństwo albo zginąć. Z tego względu syjonistycznych chrześcijan, twardych zwolenników Izraela, niekiedy uznaje się za antysemitów.

Już Lenin mawiał, że najważniejsze są kadry. Trump uznał, że ministrem wojny może zostać były żołnierz i zagorzały fanatyk religijny, który zrobił karierę jako komentator prawacko-tabloidowej stacji Fox News. Pete Hegseth swoje stanowcze poglądy nosi wytatuowane na ciele. Na prawej ręce ma wydziarane arabskie słowo *kafir*, oznaczające „niewiernego". Na piersi ma wielki krzyż jerozolimski, symbol krzyżowców walczących o Jerozolimę z muzułmanami; po 11 września 2001 r. stał on się w USA symbolem skrajnej prawicy szykującej się do walki o Amerykę białą i chrześcijańską. Jakby komuś było mało, Hegseth ma też wytatuowany napis łaciński *Deus vult* – Bóg tak chce – antyislamskie hasło pierwszych krzyżowców.

Binjamin Netanjahu dorzuca węgla do religijnego kotła, porównując Iran do biblijnych Amalekitów ucieleśniających w tradycji żydowskiej czyste zło: „W tym tygodniu czytamy w Torze: »Pamiętajcie, co uczynił wam Amalek«. Pamiętamy – i działamy". W Biblii dobry Bóg nakazał Izraelitom wymordować wszystkie amalekickie dzieci, kobiety, mężczyzn i zwierzęta, co miało być karą dla narodu pogańskiego za atak na wyznawców jedynej prawdziwej wiary. Wcześniej Netanjahu przywoływał Amalekitów, uzasadniając rzeź Palestyńczyków.

Czas na otrzeźwienie

Kłopot w tym, że kiedy daną wojnę przedstawia się jako konflikt religijny, to trudno wyjść z tego bagna. Jeśli walczymy o ropę czy ziemię, możemy w pewnym momencie dojść do wniosku, że skórka niewarta wyprawki, że trzeźwy rachunek zysków i strat nakazuje zrobić krok wstecz.

Ale jak zrobić krok wstecz, gdy ma się po swojej stronie Boga, przyśpiesza ponowne przyjście Chrystusa, wypełnia wolę Allaha czy innego Jahwe? Teologiczne uzasadnienie przemocy tworzy nieprzekraczalną granicę, wpisując się w logikę: my kontra oni. Jak zauważa w telewizji Al-Jazeera Jolyon Mitchell z brytyjskiego Uniwersytetu Durham: „Wiele osób po obu stronach konfliktu wierzy, że Bóg jest po ich stronie. Bóg jest wykorzystywany w tym konflikcie do popierania aktów przemocy. Demonizacja i dehumanizacja wroga, »innego«, nieuchronnie utrudni budowanie pokoju po zakończeniu konfliktu".

Irańskie protesty przeciwko szyickim szurom pokazały, że większość społeczeństwa ma dość bycia narzędziem w ręku religijnych fanatyków. To, że zostały krwawo stłumione, pokazuje, że reżim ajatollahów nie cofnie się przed niczym, nawet największym kurewstwem, aby utrzymać się przy władzy. Nie jest to jednak powód, aby zbombardować – zapewne przez pomyłkę, ale to nie zmienia efektu – szkołę dla dziewcząt w wieku od siedmiu do 12 lat, mordując 175 z nich.

Wydaje się, że Amerykanie zaczną powoli wracać do przytomności, próbując pogonić swoich chrześcijańskich ajatollahów, gdy przyjdzie im płacić coraz więcej za ropę na stacji benzynowej lub gdy wzrosną ceny nawozów sztucznych (a za nimi – żywności), których kraje Półwyspu Arabskiego są czołowymi producentami.

Wojna to kurwa, a wojna religijna to największa kurwa zarażająca wszystkich wokół HIV-em.

KATARZYNA KOENIG

Jak się wciąga w wojnę

Niebezpieczeństwo nadgorliwości

Do wojny rzadko idzie się dziś z fanfarami, orkiestrą i transparentem niczym dzielny wojak Szwejk. Robi się to ciszej, etapami i pod osłoną języka, który ma uspokajać. Najpierw pojawia się „incydent". Potem „wzrost napięcia". Następnie „konieczność zachowania wiarygodności sojuszniczej". A na końcu okazuje się, że państwo już tkwi w cudzym konflikcie, choć jeszcze wczoraj zapewniało, że przecież tylko „wspiera stabilność regionu".

Na Cyprze wystarczyło uderzenie w brytyjską bazę RAF Akrotiri, by nagle wszystkim przypomniało się, że cudza baza wojskowa nie jest neutralnym elementem krajobrazu. Associated Press podała, że dron uderzył w pas startowy bazy, powodując minimalne szkody i nie powodując ofiar. Równocześnie brytyjski rząd utrzymywał, że Wielka Brytania „nie jest na wojnie", choć zgodziła się, by brytyjskie bazy były wykorzystywane przez USA do ataków na irańskie wyrzutnie i pociski. Po ataku wybuchły protesty, bo dla mieszkańców sprawa stała się prosta: jeśli twoje terytorium służy jako zaplecze cudzej wojny, to prędzej czy później coś spada na głowę.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

To właśnie jest pierwszy mechanizm wciągania w konflikt: formalnie nie jesteś stroną, praktycznie udostępniasz lotnisko, radar, magazyn i pas startowy. Politycy opowiadają wtedy, że chodzi wyłącznie o zobowiązania sojusznicze i bezpieczeństwo. Tylko że przeciwnik zwykle nie rozróżnia, czy z danego miejsca startuje samolot „wojenny", czy samolot „niewojenny, ale pomocniczy". Z jego perspektywy baza pozostaje bazą.

Turcja dostała podobną lekcję w innym wariancie. Reuters podał, że systemy NATO zniszczyły irański pocisk balistyczny nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego, zanim zdążył wejść w turecką przestrzeń powietrzną. Pocisk leciał przez przestrzeń Iraku i Syrii, ale jego cel pozostawał niejasny. I właśnie ten brak jasności jest politycznie najcenniejszy, bo pozwala każdej stronie dopisać własną wersję zagrożenia. Co ważne, działo się to w chwili, gdy media opisywały rozmowy USA z irańskimi Kurdami o możliwych atakach na irańskie siły bezpieczeństwa w zachodnim Iranie, a Trump deklarował poparcie dla kurdyjskich sił z Iraku, które mogłyby uderzyć na Iran. Dla Ankary nie był to marginalny szczegół, lecz realna obawa przed otwarciem kolejnego kurdyjskiego frontu przy własnej granicy.

To nie jest przecież nowy numer. Przewodów pokazał ten sam mechanizm. Gdy 15 listopada 2022 r. w polskiej wsi spadł pocisk i zginęły dwie osoby – natychmiast rozpoczęły się spekulacje, że oto Rosja uderzyła w terytorium NATO. Dopiero później przyszły ustalenia, że najbardziej prawdopodobny był zabłąkany pocisk ukraińskiej obrony przeciwlotniczej.

Tragedia była realna, ale równie realny był odruch natychmiastowego dopisywania jej największego możliwego znaczenia politycznego. Najpierw alarm, potem fakty. Najpierw wielkie słowa, potem ostrożne korekty.

W takich momentach niebezpieczny bywa nie tylko sam pocisk, lecz także tempo, w jakim polityka i media próbują zrobić z niego gotowy argument.

Historia zna wiele takich przypadków. Incydent mukdeński z 1931 r. stał się dla Japonii pretekstem do inwazji na Mandżurię. W 1964 r. incydent w Zatoce Tonkińskiej został przedstawiony Kongresowi USA jako podstawa do znacznie głębszego wejścia w wojnę w Wietnamie. Schemat się powtarza: najpierw zdarzenie, potem oburzenie, następnie przyspieszona narracja o konieczności działania. Wojna jest wtedy sprzedawana nie jako decyzja konkretnych ludzi, lecz jako coś, co się samo stało. To wygodna formuła, bo pozwala przerzucić odpowiedzialność z polityków na historię, los albo okoliczności.

I dlatego moja obawa nie dotyczy wyłącznie Cypru, Turcji czy kolejnego odległego frontu. Dotyczy Polski. Bo największe niebezpieczeństwo nie polega dziś na tym, że ktoś oficjalnie ogłosi nam wojnę; polega na tym, że polscy politycy dadzą się wciągnąć w nią krok po kroku – najpierw językiem lojalności, potem językiem odstraszania, a na końcu językiem konieczności. Że znów wystarczy jeden niejasny incydent, kilka godzin histerii i paru liderów, którzy bardziej boją się wyglądać na miękkich niż na nierozsądnych. A wtedy wojna, która miała być cudza, znowu zacznie być tłumaczona Polakom jako nasz obowiązek.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 69f3f167e1

Diabeł tkwi w petycji

Szatana wypędzamy salcesonem, egzorcystów – podpisami.

Trwa proces najsłynniejszego bodaj polskiego egzorcysty ks. Michała Olszewskiego. Ale nie tylko on para się tym niewdzięcznym zawodem na polskich ziemiach. Wyrzucanie złych duchów to niezwykle w Polsce popularne zajęcie wśród księży. Popularne także wśród wiernych: egzorcyści nierzadko są celebrytami jeżdżącymi po parafiach z mrożącymi krew w żyłach historiami, które rzekomo im się przytrafiają w trakcie posługi. Owieczki słuchają z rozdziawionymi gębami, a potem szukają u siebie i bliskich oznak opętania. Dla zabezpieczenia kupują odpowiednie akcesoria, zaopatrują się w wodę święconą i inne niezbędne artefakty. Interes się kręci.

Skarpeta i trauma

Dla postronnych egzorcyzmy są zabawnym folklorem, zjawiskiem z pogranicza memów i dewocji. Trudno poważnie podchodzić do akcji z salcesonem czy opowieści o skarpecie JP2, pluciu gwoździami itp. Ale nie dla wszystkich egzorcyzmy kończą się śmieszkowaniem. Coraz więcej słychać o ofiarach tych rytuałów, dla których kontakt ze specjalistami od diabła skończył się traumą na całe życie. Egzorcyzmy mogą się wkrótce stać nowym – po molestowaniu seksualnym – problemem dla Kościoła kat. Zresztą obrzędy wypędzania szatana mają sporo wspólnego z molestowaniem.

Opowieści takie zebrał niedawno Szymon Piegza w książce „Mieli nas za opętanych. Historia nadużyć egzorcystów". Mimo stanowczych zapewnień egzorcystów, że swoją działalność prowadzą w zgodzie z wiedzą psychologiczną i psychiatryczną, praktyka temu przeczy. Oficjalnie egzorcyści przystępują do swojej roboty, tylko gdy nauka jest bezradna, ale w rzeczywistości biorą „pacjentów" jak leci. Piegza twierdzi że podczas egzorcyzmów dochodzi do zachowań „absolutnie patologicznych", na granicy prawa lub wręcz prawo przekraczających. Ich ofiarą padają ludzie zaburzeni lub chorzy psychicznie, którzy – nieleczeni – popadają w jeszcze gorsze stany. Księża umiejętnie kierują ich lękiem i zamiast pomagać, szkodzą. Sami nie do końca zdrowi, pogłębiają choroby u tych, których dałoby się uratować, gdyby zajął się tym specjalista.

Spętani opętani

Oddzielną i łatwiejszą do udowodnienia patologią są nadużycia seksualne w czasie egzorcyzmów. Szymon Piegza mówił o tym w TOK FM, w audycji „Tajemnice Kościoła": – Kobiety opowiadały, że ksiądz nacierał im piersi olejem egzorcyzmowanym, bo uważał, że diabeł mieszka w biuście. Inny ksiądz egzorcysta wkładał ręce do majtek, bo uważał, że diabeł zamieszkał w miejscach intymnych. A kiedy kobieta protestuje, to ksiądz egzorcysta twierdzi, że to nie ona do niego przemawia, tylko szatan. To szatan stawia opór. (...) To jest przestępstwo molestowania seksualnego, na które jest paragraf w polskim kodeksie karnym. (...) Kościół katolicki milczy i nikt z tym nic nie robi (…) Są egzorcyści, którzy zamawiają specjalne stoły – wielkie, masywne, żeby nie dało się ich przewrócić. Do tych stołów są dołączane mocne pasy do krępowania. Jedna kobieta opowiadała mi, że była krępowana stułą. Jestem pewien, że polscy egzorcyści balansują na granicy przestępstwa i prawa. Księża zapraszają osoby trzecie – z ich perspektywy po to, żeby zapewnić księdzu bezpieczeństwo. Gdy taka osoba chce uciekać, ksiądz ma ze sobą trzech, czterech, pięciu dorosłych mężczyzn, którzy taką osobę przytrzymują. Wyobraźmy sobie ten absurd sytuacji – jedna filigranowa kobieta przeciwko pięciu wielkim chłopom.

Wraz z rosnącą świadomością pojawia się też ruch oporu. Przeciwko egzorcyzmom wystąpił Paweł Kostowski – reżyser i twórca podcastów, niegdyś mocno związany z Kościołem. Kostowski był kiedyś członkiem wspólnoty, którą dziś określa jako sekta. Po opuszczeniu tej grupy zaangażował się w zwalczanie patologii w Kościele, w tym egzorcyzmów. Nakręcił (dostępny na YouTubie) film „Egzorcyzmy polskie" opowiadający historię jednej z takich dziewczyn, o których pisze Szymon Piegza. Na swoim youtubowym kanale gości ofiary księży, sam zaś jest obiektem ataków wciąż aktywnych katolików, którzy mają go za zdrajcę. Nie mogą mu wybaczyć, że kiedyś był po ich stronie, a dziś swój talent wykorzystuje, by niszczyć Kościół. Sam Kostowski twierdzi, że nikogo niszczyć nie chce, najwyżej oczyścić. Wciąż uważa się za katolika, który chce wyplenić patologie w polskim Kościele. Roboty wystarczy mu na sto lat.

Petycja i telewizja

Paweł Kostowski stworzył stronę internetową stopegzorcyzmom.pl, na której można podpisać stworzoną przez niego petycję. Czytamy w niej: „W Polsce funkcjonuje ponad 120 egzorcystów w samym Kościele katolickim. Inne związki wyznaniowe również prowadzą działalność polegającą na »uwalnianiu od diabła«. Niestety działania te często mają charakter przemocowy, w tym cechy przemocy seksualnej. Osoby poddawane rytuałom, trwającym nawet kilkanaście godzin, bywają wiązane, unieruchamiane, trzymane siłą oraz zmuszane do wykonywania czynności nakazanej przez lidera religijnego. Ich sprzeciw jest odbierany jako głos przemawiającego przez nie demona. Opis tych okoliczności jest zgodny zarówno w relacji sprawców przemocy, jak i poszkodowanych. Egzorcyści w celu bezprawnego unieruchamiania swoich penitentów stosują dedykowane, wykonane na zamówienie łóżka, klęczniki oraz fotele. Modlitwy o uwolnienie od szatana odprawia się nad dziećmi, w tym nad małoletnimi z domów dziecka prowadzonymi przez instytucje kościelne. Rytuały dotykają osób z objawami epilepsji, chorób psychicznych oraz niepełnosprawnością intelektualną. W ogóle religijny opis owładnięcia przez diabła jest zbieżny z opisem zaburzeń dysocjacyjnych w ICD-11.

Polska (obok Włoch) jest jednym z ostatnich państw w Europie, w którym wypędza się diabła na taką skalę. Ściągamy do nas uzdrowicieli z odległych krajów. Obowiązkowa w niektórych związkach wyznaniowych konsultacja psychologiczna przed podjęciem egzorcyzmów jest fikcją.

Często prowadzona jest w kościelnych ośrodkach przez specjalistów zależnych od Kościoła i nie spełnia warunków profesjonalnej konsultacji".

W związku z tymi nadużyciami Kostowski – i każdy, kto podpisze petycję – domaga się „podjęcia przez Sejm uchwały potępiającej stosowanie wobec małoletnich oraz osób z niepełnosprawnościami praktyk religijnych, które polegają na: wiązaniu, unieruchamianiu, siłowemu przytrzymywaniu (w tym przy użyciu dedykowanych do tego celu łóżek, foteli i klęczników); kneblowaniu oraz podduszaniu penitenta; celowemu zadawaniu bólu w jakiejkolwiek formie; zmuszaniu do picia poświęconej wody lub alkoholu, spożywania pokarmów, wkładania do ust przedmiotów kultu religijnego; dehumanizującej narracji opartej na koncepcji »w tej chwili nie jesteś człowiekiem, tylko szatanem«; jakiejkolwiek aktywności seksualnej przedstawianej jako działanie religijne albo mistyczne wobec tych osób".

Zaczyna od najsłabszych i bezbronnych, bo całkowicie zakazać guseł się nie da, zwłaszcza kiedy zgadzają się na nie dorosłe osoby. Niby petycjami wiele nikt nie zdziałał, ale kropla drąży skałę. Paweł Kostowski wystąpił już w programie „Raport specjalny TVP" – sprawa trafiła do mainstreamu. Zostanie wypędzony z salonów medialnych, gdy do władzy dorwą się znów tacy ludzie jak były asystent egzorcysty Tarczyński czy Czarnek, którego córce ślubu udzielił niemiecki (sic!) kardynał.

MATT KOBOSKO

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Deweloperzy w koloratkach nie budują na skale

Kościół ma w Polsce niezwykły dar. Potrafi być jednocześnie ubogi i nader majętny. W niedzielę z ambony słychać o prostocie, wyrzeczeniach i nieprzywiązywaniu się do dóbr doczesnych. A w tygodniu w zakrystii nie ma „Bądź wola Twoja", tylko WZ-ka, MPZP, „intensywność zabudowy" i „funkcja usługowa".

Zwykły inwestor budowlany zaczyna od banku. Kościelny inwestor zaczyna od księgi wieczystej. Zwykły inwestor budowlany musi najpierw kupić ziemię za rynkowe pieniądze. Kościelny inwestor często tę ziemię już ma – odzyskaną, darowaną, przekazaną, nierzadko przez państwo. Zwykły inwestor budowlany, zanim wbije łopatę, dostaje po łapach podatkami, opłatami, wymaganiami, kosztami finansowania. Przed kościelnym inwestorem państwo rozwija czerwony dywan.

W imię garażu

Na krakowskim Kazimierzu nieruchomość to nie jest adres. To jest składnik aktywów. Kto ma kamienicę przy ul. Józefa albo Bożego Ciała, ten ma w ręku coś lepszego niż złoto czy obligacje. A jeśli ma to Zakon Kanoników Regularnych Laterańskich, to jest to podwójnie mocne. Po pierwsze – lokalizacja, po drugie – legenda instytucji, która jest od wieków i z definicji nie robi interesów.

Tyle że interes się tu robi, i to w sposób uporządkowany, długoterminowy, profesjonalny. Kamienice na ulicach Józefa i Bożego Ciała są od lat wydzierżawione prywatnej spółce na długi okres – taki, który w praktyce oznacza przejęcie ekonomicznego władztwa nad nieruchomościami na pokolenia. 70 lat to czas, w którym w normalnym biznesie dwa razy zmienia się epoka, a w Kościele – najwyżej proboszcz. Pewnie dlatego w miejscu, gdzie dziś mieszkają ludzie, ma powstać kolejny luksusowy hotel. Projekt zakłada zmianę funkcji budynków – z mieszkalnej na komercyjną.

Najbardziej w tej historii działa na wyobraźnię nie słowo „hotel", tylko słowo „ludzie". W relacjach prasowych pojawiają się nazwiska, wiek, czas zamieszkania. „Mieszkam tu od 83 lat" – takie zdanie ma w sobie ciężar większy niż niejedna ekspertyza. W tej samej opowieści jest pani Ewa, mieszkająca w kamienicy od 73 lat.

Związek wypędzonych

W polskim Kościele więcej wodzów niż u Indian

Księżowskich gwiazd ci u nas dostatek. Status gwiazdy prędzej czy później jednak wiąże się z konfliktem z przełożonymi oraz uciechą mediów z kłótni w rodzinie. Gdy uzbiera się wokół gwiazdora dostatecznie dużo fanów, może on pokazać środkowy palec biskupowi, a i tak pójdą za nim tłumy. Biskup jest daleko, w pałacu, a charyzmatyczny kapłan tak blisko jak tylko można. Czasem nawet bliżej. Nawet wykopanie z instytucji nie pomoże, gdy za kapłanem idzie pokaźne stadko wpatrzonych owieczek.

Każde pokolenie ma swojego Natanka. Pierwowzór dalej działa prężnie w Małopolsce, mimo że od lat wykluczony jest z grona rzymskokatolickich duchownych. Nadal głosi długie, apokaliptyczne kazania oraz szykuje się z trzódką na koniec świata, posiłkując się wizjami swojej znajomej. Młodszą wersją Piotra Natanka jest Daniel Galus. Także suspendowany (z zakazem wykonywania zawodu księdza), także założył „pustelnię", tak samo kochają go tłumy gotowe skoczyć za nim w ogień. Wyklęty został przez metropolitę częstochowskiego w 2022 r., po tym jak krytykował obostrzenia sanitarne związane z koronawirusem. Nie chciał zaprzestać odprawiania publicznych nabożeństw, odmawiał noszenia maseczek. W końcu abepe Wacław Depo wyrzucił go z szeregów duchowieństwa częstochowskiego, ale buntownik nie uznaje tego wyklęcia i twierdzi, że jest tak samo katolicki jak biskup albo nawet bardziej. A nawet na pewno, bo Depo to mason, który wraz z kurią zaprzedał duszę diabłu i – mniej lub bardziej świadomie – służy złej sprawie. Padły oskarżenia o ukrywanie mafii pedofilskiej i homoseksualnej. No i tak od kilku lat przerzucają się oskarżeniami, wyzwiskami i klątwami. W Watykanie trwa procedura przeniesienia Galusa do stanu świeckiego, a wtedy do grona jego osobistych wrogów dołączy sam papież Leon XIV.

Do hejterów Galusa dołączył ostatnio także biskup siedlecki Kazimierz Gurda. Ostrzegł on swoich poddanych w specjalnym liście, że zbuntowany ksiądz nie ma pieczątki z nieba upoważniającej do sprawowania sakramentów i należy go unikać jak ognia piekielnego. „Stanowczo przestrzegam wiernych przed uczestnictwem w tych spotkaniach. Udział w liturgii i korzystanie z sakramentów sprawowanych przez suspendowanego kapłana wiążą się z ciężką winą moralną polegającą na nieposłuszeństwie wobec prawowitej władzy kościelnej oraz na działaniach godzących w jedność Kościoła" – napisał Gurda, a poplecznicy Galusa mają kolejny obiekt do nienawiści. Banita bowiem włóczy się po Polsce, udając czynnego księdza, a gdy go skądś wyrzucą, robi dramę.

Nieoczekiwanie w sukurs koledze przyszedł ks. Michał Misiak – postać bardzo barwna jak na polski kler.

Od lat chce zniesienia celibatu, chadzał do burdeli po kolędzie, aż w końcu przyjął ponowny chrzest od pastora, czym ściągnął na siebie ekskomunikę.

Zlitował się nad nim kard. Grzegorz Ryś i przyjął z powrotem na łono matki Kościoła. Misiak napisał na Facebooku, wrzucając zdjęcie z prześladowanym przez biskupów kolegą: „Byłem z Tobą, gdy tysiące ludzi było przy Tobie, i jestem z Tobą, gdy prawie wszyscy Cię opuścili. Dziś wpadłem na kawę i modlitwę do mojego przyjaciela ks. Daniela Galusa. Kiedyś przyjeżdżały do niego tysiące po modlitwę, wsparcie i łaskę Bożą i każdy wyjeżdżał z miłością i miłosierdziem Bożym w sercu. Dziś, gdy nawałnica uderzyła w jego dom (Mt 7, 25), wielu uciekło od o. Daniela jak apostołowie od

eprasa.pl 69f3f167e1

naszego Pana w godzinie Golgoty (…) Kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony”. Łzy same płyną na widok tego pluszowego męczeństwa.

Tym samym Misiak znowu postawił się trochę poza firmą, a w dodatku jego protektor kardynał Ryś został przeniesiony do Krakowa. Być może szykuje się transfer Misiaka do „pustelni” Galusa – tacy niesubordynowani księża lubią się trzymać razem, przynajmniej dopóki nie pokłócą się o kasę lub wpływy w sekcie. Na Misiaka i Galusa oburzył się za to inny uratowany przez Rysia – Wojciech Lemański, dawniej postać bardzo medialna, ikona sporu z nieżyjącym już arcybiskupem Hoserem, idol „otwartych katolików”. Lemański był suspendowany za nieposłuszeństwo biskupowi i nadmierne żydolubstwo. Z diecezji warszawsko-praskiej w 2018 r. przeniósł się właśnie do archidiecezji łódzkiej, w której Ryś zrobił go kapelanem więziennym. W tym czasie spokorniał i nie atakuje już jak dawniej hierarchów i kolegów. „Gdy mój biskup nałożył na mnie karę suspensy, z bólem dźwigałem ją aż do czasu zdjęcia ze mnie tej sankcji. Tylko ja wiem, ile mnie wtedy to wykluczenie kosztowało. To były bardzo trudne cztery lata. A przecież wiedziałem, że kara była niesprawiedliwa i bezpodstawna. Ksiądz Daniel wybrał drogę »na skróty«. Obawiam się, dokąd go ta droga poprowadzi. A porównywanie uśmiechniętego księdza Daniela do Jezusa opuszczonego przez apostołów na Golgocie to jednak spora przesada” – poucza młodszego kolegę w mediach społecznościowych.

Żeby oni tak się angażowali w walkę z przestępcami w swoim towarzystwie jak w walkę o uwagę ludzi i licytację na pobożność… Ale widocznie Wielki Post kojarzy im się tylko z Facebookiem.

MK

Potęga z ziemi, tej ziemi

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Są małżeństwa, które przez dekady remontowały mieszkania na własny koszt, bo wierzyły, że skoro to kościelne, to będzie stabilniej. I nagle dostają wypowiedzenia.

Zaczyna się klasyczna liturgia „konieczności remontu”. Remont jest w tej branży słowem magicznym. Daje moralną przewagę. Remontem można uzasadnić tak podniesienie czynszu, jak i wyprowadzkę. Potem pojawia się propozycja – wynajmijcie sobie coś na wolnym rynku za kilka tysięcy miesięcznie, my dopłacimy przez rok, a potem to już poradzicie sobie.

Gdy sprawa nabrała rozgłosu, do dyskusji włączył się kardynał Ryś. Zakon miał przedstawić deklaracje, że sytuacja lokatorów zostanie rozwiązana bardziej po ludzku. Tyle że deklaracja nie jest dachem nad głową. Nie jest umową najmu. Jest słowem, zaś słowa w sporze z buldożerem mają zaskakująco małą moc.

A krakowscy zakonnicy nie tyle oddają coś komuś w dzierżawę, co sami stają się inwestorem, projektując budynek od zera. I to nie byle jaki budynek. Planowany obiekt ma mieć siedem pięter, jedną kondygnację podziemną i ogromną liczbę lokali określanych jako apartamenty hotelowe, przeznaczonych na długoterminowy najem. W parterze przewidziano funkcję usługową, czyli klasyczną miejską maszynę do zarabiania: ludzie mieszkają, ludzie wydają, pieniądz krąży. W języku rynku to PRS: sektor prywatnego najmu instytucjonalnego. W języku tradycji kościelnej to coś, co kiedyś nazywano czynszem z kamienic – tylko w wersji nowoczesnej, w standardzie premium, z garażem podziemnym.

Tu pojawia się też wątek polityczny. Kluczowe zapisy planistyczne zmieniono bowiem w przeszłości tak, aby inwestycja stała się możliwa. Innymi słowy: zakon nie tylko ma ziemię i pomysł. Zakon ma również zdolność wpływu na otoczenie instytucjonalne – tak, aby inwestycja przeszła. Dlatego jeśli ktoś chce w Krakowie zobaczyć Kościół w roli budowniczego, niech nie szuka już tylko fundamentów świątyń. Niech szuka garaży podziemnych.

Rachunek za Maltę

Jak wskazuje nazwa Osiedle Maltańskie w Poznaniu, to miejsce położone w jednej z najatrakcyjniejszych części miasta, w pobliżu Jeziora Maltańskiego. Teren od dekad należał do Kościoła. Ludzie dzierżawili działki, na których postawili domy. Część zamieszkała tam dawno temu, część wprowadziła się później, ale wszyscy żyli w relacji, w której Kościół jako właściciel był traktowany jako instytucja stabilna. Dlatego to, że w sprawach biznesowych Kościół potrafi działać jak podmiot stricte gospodarczy, dla wielu było zaskoczeniem.

Transakcja dotyczyła działki o powierzchni około 12,2 hektara, a jej wartość – według publicznie podawanych informacji – wynosiła 421,18 mln zł. Nabywcą została spółka deweloperska. Płatność miała być rozłożona w czasie, co samo w sobie pokazuje, że nie mówimy o sprzedaży, bo „potrzebujemy na dach kościoła”. Mówimy o umowie z dużym graczem, z harmonogramem, z zabezpieczeniami, z profesjonalną obsługą prawną.

W mediach pojawiała się skala planów inwestora. W miejsce domków i ogródków mają stanąć tysiące mieszkań. Ale na działce żyją ludzie. Podawano liczbę około 650 zameldowanych osób. W relacjach telewizyjnych mówiono o ponad 100 rodzinach.

W tego typu historiach zawsze wraca kluczowe pytanie: czy mieszkańcy mieli możliwość wykupu? Czy mieli gwarancje? Czy Kościół próbował rozwiązać ich sytuację przed transakcją?

Tu wygląda to tak, że ludzie mają domy, ale nie mają gruntu. A grunt ma nowy właściciel, który – jeśli chce maksymalizować zysk – będzie dążył do tego, by teren uwolnić pod inwestycję. Oczywiście koszty społeczne nie spadną na parafię. One spadną na miasto, na pomoc społeczną, na politykę mieszkaniową, na ludzi. Parafia dostanie pieniądze. Deweloper dostanie grunt. A reszta dostanie rachunek do zapłacenia.

Negroni na kościach

W samym centrum Zakopanego stoi klasztor karmelitanek bosych. Siostry – zakon kontemplacyjny, symbol wycofania ze świata – miały plan przekształcenia klasztoru w pensjonat. A w ogrodzie planowano trzy apartamentowce. W publikatorach podkreślano, że to nie był kaprys architektoniczny, tylko czysta kalkulacja. Warunki zabudowy podbijają wartość nieruchomości, a nieruchomość z decyzją planistyczną sprzedaje się wielokrotnie drożej. Warunki zabudowy działają jak dopalacz ceny. W Polsce nie sprzedaje się ziemi, sprzedaje się potencjał zabudowy. Kto ma decyzję, ten ma pieniądz.

Siostry argumentowały, że przenoszą się, bo w sąsiedztwie powstaje duży kompleks apartamentowców, a one nie chcą takiego otoczenia. Czyli uciekają przed betonem. Ale by uciec, chciały sprzedać drożej. Aby sprzedać drożej, wpuszczały beton do własnego ogrodu.

Zakopane spróbowało to zatrzymać. Miasto odmówiło zgody na takie przekształcenie i blokowało plany. Ostatecznie w przekazach medialnych pojawiła się informacja o przegranej zakonnic w tej batalii. I choć to przykład, w którym samorząd powiedział „nie”, to sam fakt, że zakon w ogóle wszedł na tę drogę, pozostaje znakiem czasów.

Na Stradomiu, między Wawelem a Kazimierzem, tam gdzie przez stulecia modlono się, leczono i grzebano w poświęconej ziemi, dziś można zamówić Negroni z rozmarynem, zanurzyć się w basenie i przespać noc w apartamencie nazwanym bez cienia ironii „Chapel Loft”.

Na fasadzie najbardziej dziś wypasionego hotelu w Krakowie wciąż widnieje sentencja: *Si vis pacem, para bellum* – „Jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny”. Nikt nie dopisał pod nią: jeśli chcesz pięciu gwiazdek, szykuj się do desakralizacji.

Za hotelem, tam gdzie kiedyś znajdowały się zabudowania klasztorne, szpital i cmentarz, wybudowano apartamenty. W trakcie prac archeologicznych natrafiono na 1609 ludzkich szkieletów. Kości wydobywano warstwami. Archeolodzy mówili o jednym z większych odkryć tego typu w Krakowie. Szczątki zostały przebadane, a następnie pochowane ponownie – na cmentarzu w okolicach Wieliczki.

Nie było publicznych lamentów. Nie było listów pasterskich. Nie było bicia w dzwony. Ziemia została formalnie odsakralizowana. Procedura kościelna dopuszcza taką możliwość, jeśli świątynia nie może być już wykorzystywana do kultu. Dokumenty podpisano. Świętość zdjęto z muru jak tabliczkę z nazwą parafii. A potem przyszedł inwestor.

Najbardziej uderzające jest to, że w Krakowie – mieście, które tak chętnie powołuje się na tradycję i sacrum – nie było żadnego sprzeciwu. Żaden biskup nie mówił o zgorszeniu. Żaden ksiądz nie apelował o zachowanie szczególnej powagi miejsca.

W kraju, w którym potrafią wybuchać spory o krzyż w przestrzeni publicznej, w którym pojedyncza tęczowa flaga potrafi stać się tematem ogólnopolskiej debaty, przemiana dawnego kościoła w koktajl bar przeszła niemal bez echa.

W opowieści o Kościele jako budowniczym ważne jest to, że przestrzenie dawniej sakralne albo związane z instytucjami kościelnymi w naturalny sposób stają się rezerwuarami atrakcyjnych terenów. Dawny ogród zgromadzenia, dawna działka przy klasztorze, dawne zaplecze, dawny teren cmentarny – wszystko to jest dzisiaj potencjałem.

Każda z tych historii wygląda na lokalną. Ale gdy złożyć je razem, wychodzi coś ciekawszego. Bo Kościół w Polsce przez dekady otrzymywał ogromne zasoby gruntów, najczęściej nieodpłatnie. Po drugie, istnieje system zwolnień i ulg podatkowych, obejmujący kościelne osoby prawne. Ten mechanizm powoduje, że część kościelnych działalności może funkcjonować z mniejszym obciążeniem fiskalnym niż analogiczne przedsięwzięcia świeckie. Po trzecie, państwo finansuje składki na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne duchownych. Dla świeckiego przedsiębiorcy to rzecz niewyobrażalna. Jemu nikt nie opłaci składek. I po czwarte, Kościół korzysta z dotacji publicznych na remonty obiektów zabytkowych i sakralnych. W efekcie Kościół wchodzi na rynek budowlany w pozycji, która w normalnym kapitalizmie jest nieosiągalna. Ale nie waha się z tego korzystać. Wyrzucając ludzi z domów, mieszkań i ogródków.

Wszystko to robi ta sama instytucja, która przez lata pouczała ludzi o grzechu chciwości.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Jak poinformował Instytut Pamięci Narodowej, w przeddzień Narodowego Święta Żołnierzy Wyklętych na stołecznym Kopcu Powstania Warszawskiego doszło do aktu wandalizmu. Nieznani sprawcy usunęli ok. 10 krzyży upamiętniających bohaterów podziemia niepodległościowego i porzucili je w zaroślach. Zniszczone zostały również tabliczki informacyjne ufundowane przez mieszkańców. IPN domagał się ukarania barbarzyńców. Tymczasem, jak przekazała Karolina Kwiecień-Łukaszewska, rzeczniczka zarządu zieleni opiekującego się terenem, krzyże najprawdopodobniej przewróciły się wraz z topniejącym śniegiem. Dewastacji uległo natomiast zbocze kopca, na którym latem zamontowano nowe krzyże bez zgody i wiedzy zarządcy terenu.

✚ 5 marca przed sądem w Tarnowie w procesie biskupa Andrzeja Jeża dotyczącym niezgłaszania przypadków pedofilii wśród księży zeznawał były biskup diecezji tarnowskiej Wiktor Skworc. Bepe podkreślał przed sądem, że każde zgłoszenie dotyczące nadużyć wobec małoletnich było przez Kościół traktowane poważnie i nie było mowy o ukrywaniu pedofilii. To do Skworca miały w 2002 r. zwrócić się osoby, które wiedziały o nadużyciach ks. Stanisława P. wobec małoletnich. Hierarcha przyjął wówczas rezygnację klechy z urzędu proboszcza, wysłał go na urlop, a następnie na misję w Ukrainie. Swoją decyzję wobec księdza pedofila Skworc tłumaczył sądowi jako danie mu szansy na rewizję życia i poprawę postępowania. Skierowanie ks. Stanisława P. na misję w Ukrainie motywował zaś potrzebą wsparcia odbudowującego się tam Kościoła katolickiego. „Nie było takiej polityki w diecezji, że poprzez wysyłkę duchownych za granicę czyścimy pewną sytuację” – dodał Skworc. Srali muchy...

Rys. WIDGET

✚ Sąd Apelacyjny w Rzeszowie odroczył proces księdza Sebastiana M. oskarżonego o molestowanie nieletniego ministranta, prezentowanie mu pornografii oraz gwałt. Do pierwszych przestępstw miało dojść w latach 2014–2016 na plebanii w Jaćmierzu (Podkarpacie). Kolejne czyny miały miejsce w 2018 r. w Iwoniczu, gdzie klecha pełnił funkcję wikarego. W kwietniu 2024 r. Sąd Okręgowy w Krośnie skazał Sebastiana M. na pięć lat pierdla, orzekł zakaz pracy z dziećmi, 10-letni zakaz zbliżania się i kontaktowania z pokrzywdzonym oraz 40 tys. zł nawiązki na rzecz ofiary. Obrońca księdza złożył apelację od nieprawomocnego wyroku. Wcześniej oskarżony wnioskował o wyłączenie wszystkich sędziów ze składu orzekającego. Odroczona została również rozprawa apelacyjna z października 2025 r. Wniosek o odroczenie marcowej rozprawy złożyli obrońcy oskarżonego, który nie pojawił się w sądzie. Jak wyjaśniono, chodzi o umożliwienie duchownemu zajęcia stanowiska wobec jednego z sędziów zasiadających w składzie orzekającym. Przyjemniej zadawać pokutę niż przyjąć własną.

✚ Paulini z Jasnej Góry ostrzegają przed naciągaczami, którzy handlują specyfikiem na cukrzycę, reumatyzm, hemoroidy i problemy z prostatą, wykorzystując autorytet zakonników. „Wszystkie informacje o tajemniczej recepturze, o rzekomym przeorze Jasnej Góry, który tę recepturę ujawnił światu, są po prostu kłamstwem, a mają na celu jedynie wyłudzenie pieniędzy” – ostrzegł w apelu Waldemar Pastusiak, kustosz Jasnej Góry. Zupełnie tak samo jak w przypadku wiary katolickiej.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 69f3f167e1

Gorejące serce Boga

Kult, który niczego nie zmienia

Rys. TOMASZ WIATER

Zaczęło się niewinnie. Do redakcji przyszedł mail o treści następującej: „Kochani, mam do Was prośbę: pójdźcie na film pt. »Najświętsze Serce« i napiszcie rzetelną recenzję. Sam bym poszedł, ale ksiądz proboszcz powiedział, że nawet najbardziej zatwardziali bezbożnicy w ateistycznej Francji – taki przykład podał – wychodzą z tego filmu nawróceni, więc wolę nie ryzykować. Wam to pewnie nie grozi. Pozdrawiam i czekam".

Nie śpieszyło się nam na taki seans. Ostatni film religijny, który zapadł nam w pamięć, to „Pasja" Mela Gibsona z 2004 r. – jeden z największych fenomenów frekwencyjnych kina religijnego. Było to, proszę Państwa, omal ćwierć wieku temu.

Z czystej ciekawości sprawdziliśmy, co piszą o nowym arcydziele „Najświętsze Serce"* z 2025 r. Episkopat się podnieca, że przyciąga tłumy. Portal Misyjne.pl donosi, że od premiery 20 lutego film zobaczyło 110 tys. widzów w 180 kinach, a zainteresowanie rośnie. Sami twórcy, państwo Gunnellowie, w wywiadzie dla „Tribune Chrétienne" przyznają, że nie spodziewali się takiego sukcesu w Polsce. No cóż, przy takim natężeniu propagandy i jednym religijnym seansie na ćwierć wieku, można się w końcu złamać.

Na seans w warszawskim Kinie Reduta zaplanowany na środę o godzinie 15.10 weszliśmy już po zgaszeniu świateł. Nie jest to pora szczególnie sprzyjająca kinowej frekwencji, więc znalezienie wolnych miejsc nie sprawiło najmniejszego kłopotu. Co innego było jednak dziwne, choć przekonać mogliśmy się o tym dopiero później, kiedy po seansie zapalono światła. O tym na końcu.

Anatomia kultu

Obraz „Najświętsze Serce" ma pewien problem, typowy dla produkcji, które chcą bronić wiary. Trudno mu się zdecydować, czym właściwie chce być. Nie jest to do końca dokument, nie jest to też klasyczna fabuła, ani precyzyjny wykład historyczny. To raczej połączenie tych trzech form: mamy tu fabularyzowane sceny z historii Kościoła, komentarze teologów i zwykłych ludzi, a także wizje mistyczne, które pojawiają się w niespodziewanych momentach, nie zawsze w oczywisty sposób powiązanych z resztą narracji. Spróbuję więc zrobić to, czego autorom filmu zabrakło: opowiedzieć, o czym właściwie jest ta historia. Historia, w której słowo „serce" pada z częstotliwością, jakiej nie powstydziłby się nawet podręcznik do kardiologii.

Kult Najświętszego Serca Jezusowego w Polsce nie jest specjalnie popularny. Co prawda gdzieś tam w pamięci majaczy Litania do Najświętszego Serca Jezusowego odmawiana w czerwcu w kościołach – zwykle po południu i głównie przez panie w słusznym wieku. My mamy innego faworyta. U nas od wieków rządzi kult maryjny. Jeżeli coś w polskim katolicyzmie jest naprawdę wszechobecne, to nie serce Jezusa, tylko Maryja – od Jasnej Góry po przydrożne kapliczki.

Człowieka o bardziej technicznym umyśle od razu nachodzi pytanie: dlaczego akurat serce Jezusa jest najświętsze, a nie na przykład ręka albo oko? Przecież Chrystus miał też wątrobę, nerki i inne narządy, które z anatomicznego punktu widzenia wcale nie są mniej interesujące. Równie dobrze moglibyśmy czcić Najświętszą Trzustkę albo Przenajświętszą Śledzionę, choć, trzeba przyznać, brzmiałoby to już nieco mniej dostojnie.

Serce przecież pompuje tylko krew, a za myślenie, emocje i pamięć odpowiada mózg. Logiczniej byłoby czcić Najświętszy Mózg. Choć trudno wyobrazić sobie nabożeństwo do Najświętszej Kory Mózgowej. Wierni mieliby problem z ikonografią.

Wyobrażenie serca jako najważniejszego organu ma starożytne korzenie. Już Egipcjanie uważali serce za centrum życia, myślenia i moralności. Serce się porusza, bije i reaguje, a mózg wygląda jak galaretowata masa. Sądzono nawet, że mózg tylko chłodzi organizm. Serce potwierdzało swoją wagę przy każdej emocji: strach, stres, wzruszenie – wszystko to odczuwamy w klatce piersiowej. Starożytni, na przykład Arystoteles, uznali je błędnie za centrum życia psychicznego.

Starożytna intuicja przeniknęła stąd do religii. W Biblii serce pojawia się setki razy i oznacza wnętrze człowieka: myśli, wolę i sumienie. W Ewangelii czytamy, że z serca pochodzą złe myśli. W Starym Testamencie, że Pan patrzy na serce.

Francuska szkoła mistyki

Jednak nawet bez znajomości anatomii, twierdzenia o dominującej roli serca budzą wątpliwości. Gdzie właściwie jesteśmy we własnym ciele? Większość wskaże na głowę, gdzie mieści się świadomość. Myślenie, decyzje, wspomnienia – to wszystko dzieje się w głowie, a nie w klatce piersiowej. Serce reaguje na nasze przeżycia, ale ich nie wytwarza.

Prawda jednak nie wygrała. Przeważył nonsens. W europejskiej wyobraźni serce od wieków uchodzi za siedzibę uczuć. „Z całego serca", „złamać komuś serce" – mówimy przecież. Kościół sięgnął po symbol zakorzeniony w języku i kulturze. Zamiast tworzyć nową metaforę, wykorzystano tę, która była zrozumiała. I tak powstał kult serca Jezusa – symbolu boskiej miłości.

Wybuch tej sercowej pobożności to francuski wynalazek. A Francuzi mają skłonność do osobliwych pomysłów. Wystarczy wspomnieć miłość francuską. Tego akurat w filmie nie ma – z przyczyn oczywistych – ale klimat intelektualnej odwagi Francuzów pozostaje w pamięci.

Kluczowy moment filmu „Najświętsze Serce" to klasztor w Paray-le-Monial, lata 1673–1675. Zakonnica Małgorzata Maria Alacoque miała tam mistyczne wizje. Ukazywał się jej Jezus, odsłaniając serce oplecione cierniami i przekazując zalecenia dotyczące nowego nabożeństwa.

Trudno w tym kontekście nie pomyśleć o naszej Faustynie Kowalskiej i jej mauzoleum w Łagiewnikach. Ona też widywała Chrystusa, rozmawiała z nim i zapisywała wizje w „Dzienniczku", który stał się fundamentem kultu Bożego Miłosierdzia.

W obu przypadkach schemat jest podobny: wizja, spowiednik-teolog, notatki, publikacja i nowy nurt pobożności. Treść wizji nie była nowa. To symbole i obrazy, które już funkcjonowały w religijnej wyobraźni epoki. Nie ma rewolucyjnych odkryć ani teologicznych przełomów. Chrystus nie wygłaszał traktatów ani nie objawiał nieznanych prawd. Mówił rzeczy proste: że ludzie są niewdzięczni, że trzeba się modlić, szczególnie w czwartki wieczorem.

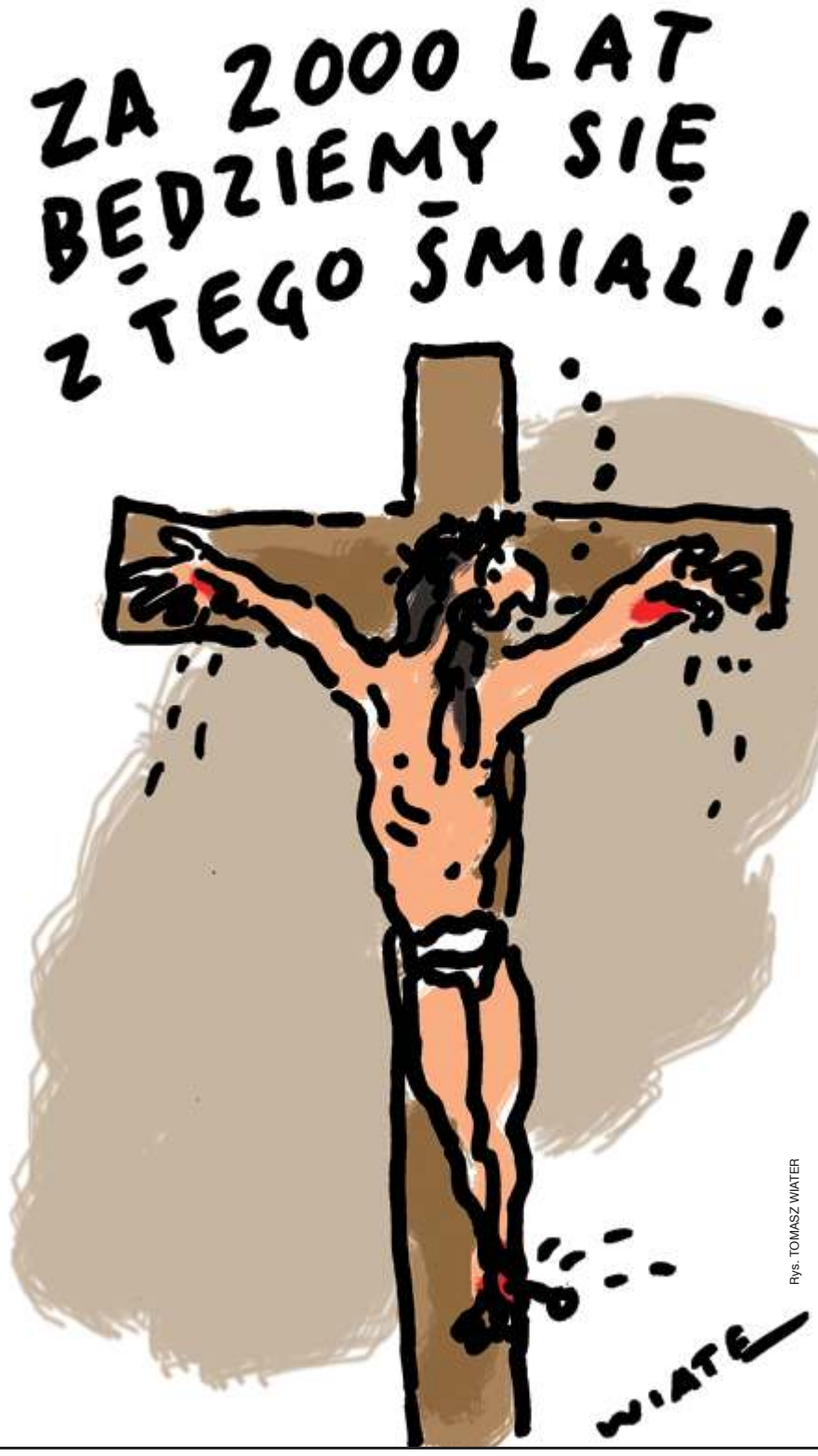

Rys. TOMASZ WIATER

Realne złudzenia

Nie będę polemizował, czy Chrystus się pojawiał, czy nie. To sfera doświadczeń wewnętrznych. Śnią nam się przecież osoby, prowadzą rozmowy, przekazują rady. Umysł ludzki potrafi wytwarzać przekonujące obrazy. Osobiście na jawie ze snem się nie spotkałem, ale wiem, że ludzka psychika bywa zdolna do osobliwych sztuczek.

Niedawno znajomy, trzeźwy człowiek, przeżył zagadkową rzecz. Twierdził, że między północą a południem nic nie pamięta. Tymczasem jego karta kredytowa mówiła co innego: jeździł, tankował, odbierał telefony. Wszystko zapisane, a on nic o tym nie wiedział. Po badaniach neurolog wzruszył ramionami: „No cóż, w pana wieku takie rzeczy się zdarzają". I to zamyka sprawę. Umysł ludzki potrafi generować fałsz, który jest realny, albo wykasować rzeczywistość.

Ważniejszym od samego faktu rzekomego pojawiania się Jezusa jest to, co dokładnie Chrystus miał zakonnicy mówić. Czy czasem nie było to wytworem religijnej nadgorliwej wyobraźni? Podobne wątpliwości mieli już współcześni siostrze duchowni. XVII-wieczni przełożeni kościelni nie przyjęli wizji z entuzjazmem. Traktowali je z rezerwą.

Według relacji zakonnicy Mesjasz miał powiedzieć, że ludzie obrażają go swoją niewdzięcznością i że powinni okazywać mu większą wdzięczność za jego miłość. Lekarstwem na tę niewdzięczność miała być szczególnie żarliwa modlitwa oraz ustanowienie specjalnego nabożeństwa ku czci jego serca. Brzmi to dość osobliwie jak na wypowiedzi Syna Bożego. W Ewangeliach – jakkolwiek dalekich od dziennikarskiej precyzji – Chrystus występuje raczej jako nauczyciel mówiący o miłości bliźniego, przebaczeniu i pokorze, a nie jako ktoś domagający się ustanowienia szczególnego kultu dla własnego organu wewnętrznego.

Chrystus oszukał

Od wizji Małgorzaty Marii minęło stulecie, zanim Rzym łaskawie zezwolił na lokalne obchody. Kolejne sto lat minęło, nim kult rozlazł się na cały Kościół. Ta ślimacza prędkość wynikała z ostrożności teologicznej i wątpliwości, czy te objawienia to nie są po prostu kłamstwa. Ale w międzyczasie kult Serca Jezusowego stał się tak popularny, że Kościół, zamiast z nim walczyć, wciągnął go do swojego repertuaru. I tu pojawia się dylemat: albo siostra Maria zmyślała, albo – co jeszcze bardziej absurdalne – Chrystus ją oszukał.

Bo niby po co te objawienia? Miały poruszyć serca i uczynić świat lepszym. Ale nie wyszło.

Kult Serca Jezusa trwał wieki i nic. Nie złagodził obyczajów, nie powstrzymał przemocy, nie uczynił świata lepszym. Historia bez religijnych okularów pokazuje, że epoka tego kultu to jedna z najbardziej krwawych w dziejach.

Terror jakobiński – dziesiątki tysięcy istnień zmiecione z powierzchni ziemi. Wandea – rzeki krwi, topione wsie, niewyobrażalne okrucieństwo. XIX i XX w. – katastrofy, głód, nędza. I wojna światowa – miliony istnień unicestwionych. Hiszpanka – morowe powietrze, dziesiątki milionów umierających w męczarniach. II wojna światowa – Holokaust, fabryki śmierci, zagłada, której świat nie widział. Bomby atomowe – piekło na ziemi. Wielki głód w Chinach – kolejne miliony ofiar. Brutalna prawda jest taka: ten kult to kłamstwo. Nie działał i nigdy nie będzie działać.

Serce w hostii

Na koniec cuda eucharystyczne ukazane we francuskim filmie. Hostia zamieniająca się w ludzkie serce. Pokazują Buenos Aires (1996), ale to niejedyny przypadek, bo jest przecież też polska Sokółka (2008). Kościół twierdzi, że badania potwierdziły. Hostie zmieniły się w komórki ludzkiego serca. Spektakularne? Być może, ale... wyniki tych badań nie trafiły do poważnych pism medycznych. Materiał badawczy jest niedostępny dla niezależnych ekspertów. Metodologia badań – niejasna. Krótko mówiąc: to nie spór o wiarę, tylko zwykła naukowa ściema.

No cóż, obejrzałem film o Najświętszym Sercu Jezusa z poczuciem zawodowej odpowiedzialności. Zostałem do samego końca, choć – nie ukrywam – była to pewnego rodzaju próba charakteru. Po seansie nie jestem ani bardziej wierzący, ani bardziej niewierzący. Mam natomiast nieodparte wrażenie, że twórcy, próbując udowodnić prawdę religijną, posłużyli się metodami, które tę prawdę raczej osłabiają, niż wzmacniają.

Pozostaje jeszcze jedna rzecz, o której wspomniałem na początku. Kiedy zapalono światła, zrozumiałem, co przez cały seans wydawało mi się nieuchwytne. Na sali było zaledwie kilkanaście osób. Wszystkie to kobiety w różnym wieku oraz jedna siostra zakonna. Jedynym mężczyzną wśród widzów byłem ja. Co oczywiście samo w sobie nie jest żadnym dowodem teologicznym, ale stanowi pewną obserwację socjologiczną, z którą trudno polemizować.

ROBERT JARUGA

*) Pełny tytuł filmu w języku oryginalnym: „Sacré-Cœur: Son règne n'a pas de fin", co można przetłumaczyć jako: „Najświętsze Serce: Jego królestwo nie ma końca".

eprasa.pl 69f3f167e1

Nadeszły takie czasy, że dziennikarz sportowy musi więcej pisać o polityce niż o tym, co dzieje się na stadionach.

Lewa noga Trumpa

Nie będę ukrywać, że większą część zawodowego życia przyszło mi spędzić w Polsce Ludowej. Mało pisałem wówczas o polityce, co nie znaczy, że świat nie był przesiąknięty polityką, podobnie jak dziedzina, którą się zajmowałem. Był przesiąknięty jak cholera. Tyle że do politycznych wyzwań angażowano bardziej odpowiedzialnych ode mnie towarzyszy z innych działów redakcji; oni zapisywali środek gazety, nam zostawiając ostatnią stronę. Oczywiście wiedziałem, że nie wolno pisać o niemieckich zawodnikach, bo byli tylko sportowcy z NRD lub z NRF. Tak weszło mi to w nawyk, że później – po zmianie ustroju i zjednoczeniu Niemiec – musiałem uważać, żeby nie popełnić pomyłki.

Bojkot z cenzurą

Ściśle polityczne zadanie dostałem przed igrzyskami olimpijskimi w Moskwie w 1980 r. Część zachodnich krajów zbojkotowała je, inne odmówiły udziału w ceremonii otwarcia. Było to efektem napaści ZSRR na Afganistan. Miałem skrytykować Zachód za taką postawę i przystąpiłem do dzieła z zapałem. Całym sercem sprzeciwiałem się bojkotowaniu zawodów sportowych (dziś już nie jestem taki radykalny), nie pamiętając nawet, że podczas wcześniejszych igrzysk w Montrealu startu odmówiła większość reprezentacji z Afryki jako sprzeciw wobec apartheidu w RPA. Sportowcy afrykańscy poza biegami długodystansowymi nie zaliczali się wówczas do światowej czołówki, można było nie zauważyć ich braku.

W odwecie za bojkot igrzysk w Moskwie Związek Radziecki, a z nim rodzina krajów demokracji ludowej, w tym Polska, postanowił nie wysyłać sportowców na igrzyska do Los Angeles w 1984 r. Znów dostałem polityczne zlecenie: uzasadnić słuszność tej decyzji. Polecenie jest poleceniem, napisałem tekst. Proszę, poszukajcie w starych zszywkach „Trybuny Ludu". Niczego na ten temat podpisanego moim nazwiskiem nie znajdziecie. Po prostu tekst zdjęła cenzura. Widocznie zbyt jasne było, że sprzeciwiam się narzuconej nam przez wielkiego brata decyzji. Nie zamierzam teraz kreować się na jakiegoś opozycjonistę, bo nim nie byłem, ale fakt jest faktem.

Na chwilkę wracam jeszcze do moskiewskich igrzysk, które oglądałem na własne oczy. Zachciało mi się wielkiej polityki i raz jeden poszedłem na organizowaną codziennie przez gospodarzy konferencję prasową. A nuż usłyszę coś ciekawego i nadającego się do druku w gazecie?

Trafiłem na wielką awanturę. Jakiś zachodni dziennikarz, Anglik albo Amerykanin, już nie pamiętam, wybiegł rano z Hotelu Rassija w szortach z zamiarem przebieżki po nabrzeżu rzeki Moskwy. Natychmiast zwinęła go milicja, sądząc, że to prowokator. Podniósł się wielki krzyk. Przedstawiciel Radzieckiego Komitetu Olimpijskiego długo musiał odpierać zarzuty i tłumaczyć, że w kraju rządzonym przez robotników i chłopów każdemu wolno uprawiać footing, ale jeden milicjant o tym nie wiedział. Oczywiście niczego nie napisałem z konferencji prasowej, pośmialiśmy się tylko wieczorem we wspomnianym Hotelu Rassija podczas tradycyjnej wódeczki w gronie polskich dziennikarzy, gdy opowiadałem o konferencji kolegom.

Prawda czasu, prawda ekranu

Dziś już nie jest mi do śmiechu. Igrzyska olimpijskie zarówno letnie, jak i zimowe, przebiegały jeszcze bez politycznej otoczki. Ale to, co dzieje się obecnie, sprawia, że po prostu boję się pisać, bo nie wiem, którą nogą wstanie z łóżka prezydent Stanów Zjednoczonych.

Amerykańsko-izraelski atak na Iran sprawił, że w trwających właśnie zimowych igrzyskach paraolimpijskich Mediolan–Cortina nie bierze udziału irańska reprezentacja. A właściwie jeden zawodnik, bo z tylu członków ona się składała.

Rakiety i drony latające po niebie na Bliskim Wschodzie nie powinny sprawić, że zapominamy o wojnie toczącej się za naszą wschodnią granicą. Międzynarodowy Komitet Paraolimpijski najwyraźniej zapomniał. O ile w letnich i zimowych igrzyskach sportowcy z Rosji i Ukrainy mogli brać udział, tylko jeśli nie trenowali w wojskowych klubach, nie wolno im było nosić narodowych barw, a w razie zwycięstwa nie odgrywano dla nich narodowego hymnu, o tyle podczas paraolimpiady nie ma żadnych ograniczeń.

Ten fakt sprawił, że 11 krajów, w tym Polska, a także m.in. Niemcy, Finlandia, Estonia, Holandia, zdecydowało się zbojkotować ceremonię otwarcia igrzysk. Telewizja Polska zapowiedziała, że w ogóle nie pokaże reprezentacji krajów, które dokonują zbrodni na terenie Ukrainy. Gdy sportowcy z Rosji i Białorusi znajdują się w międzynarodowym przekazie z Włoch, TVP przerywa transmisję i pokazuje planszę z napisem „Solidarni z Ukrainą".

Znów pamięć przywołała obrazek z czasów PRL. W 1982 r., podczas trwającego w Polsce stanu wojennego, rozgrywano piłkarskie mistrzostwa świata w Hiszpanii. Nasza telewizja musiała je pokazywać. Nie było to takie proste, bo podczas meczów Polaków widzowie na trybunach rozwijali biało-czerwony transparent z napisem „Solidarność". Szefowie przy ul. Woronicza w Warszawie byli przygotowani na tę okoliczność. Dysponowali materiałem przedstawiającym puste trybuny podczas innego meczu. W momencie, gdy Hiszpanie pokazywali trybuny z naszego spotkania, natychmiast wplatano przygotowany wcześniej materiał. I tak było to widoczne, bo np. podczas gry niebo było zachmurzone, a nagle oglądaliśmy skąpane w słońcu trybuny. Jak widać, manipulacja obrazem podczas sportowej imprezy ma długą tradycję. Nawiasem mówiąc, Polska zajęła trzecie miejsce w hiszpańskim mundialu, bo reprezentację mieliśmy naprawdę bardzo mocną.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wrażliwość i oszustwa

Dlaczego Międzynarodowy Komitet Paraolimpijski podjął w sprawie sportowców z Rosji i Białorusi inną decyzję niż komitet olimpijski? Trzeba pamiętać, że nie są to tożsame organizacje. Czasem można odnieść wrażenie, że nie są nawet zaprzyjaźnione. Podejmują decyzje autonomicznie. Tym razem komitet paraolimpijski podjął złą.

Sport paraolimpijski to skomplikowany, wrażliwy temat. Sama idea jest piękna. Ludzie pokrzywdzeni przez los nie poddają się, walczą z przeciwnościami. Wiele osób godnych jest najwyższego podziwu, a umożliwienie im startu na arenach, na których wcześniej rywalizowali zdrowi sportowcy, jest wspaniałą możliwością.

Jednocześnie – już kilka razy o tym pisałem – w sporcie paraolimpijskim jeszcze częściej niż w „normalnym" zdarzają się oszustwa. Chodzi o kwalifikowanie do różnych stopni niepełnosprawności.

Najgłośniejsza była sprawa hiszpańskich koszykarzy podczas paraolimpiady w Sydney w 2000 r. Gazeta „Marca" uhonorowała złotych medalistów zdjęciem na pierwszej stronie. Ich znajomi przecierali oczy ze zdumienia – 10 z 12 członków zespołu udawało niepełnosprawność umysłową…

Proceder został ukrócony, ale zapewne w jakimś stopniu trwa nadal. Podobnie jak doping w sporcie. Teraz zamiast tego mamy na paraolimpiadzie reprezentantów kraju, który pomnaża w zastraszającym tempie liczbę osób z niepełnosprawnościami w Ukrainie.

Mistrzostwa polityczne

Najbardziej wyczekiwana i najbardziej oglądana impreza, jaką są piłkarskie mistrzostwa świata, ma się rozpocząć za mniej niż 100 dni w USA, Kanadzie i Meksyku. Jeśli chodzi o Rosję i Białoruś, sprawa jest jasna. Jedenastki tych krajów są wykluczone ze wszystkich międzynarodowych imprez i choć prezydent Donald Trump i jego przyjaciel prezydent FIFA Gianni Infantino nie są tym zachwyceni, nic nie poradzą.

Chyba żaden mundial w historii nie budzi tak wielu pozasportowych wątpliwości jak ten zbliżający się. Z Kanadą nie ma większych problemów, choć trudno mówić o braterskich stosunkach między tym krajem i USA, a wojna handlowa, choć na moment przygasła, w każdej chwili znów może się obudzić, a wraz z nią cła, wzmożone kontrole na granicy i inne atrakcje.

Zupełnie inaczej sprawa wygląda z Meksykiem. Ten kraj ma teraz trudną wewnętrzną sytuację, bo w niektórych regionach uzbrojone gangi narkotykowe przejęły pełną kontrolę nad państwem. Prezydent Meksyku Claudia Sheinbaum zapewnia, że jej kraj jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo imprezy, ale jeśli nawet tak będzie, przedsięwzięte środki okażą się stukrotnie większe i widoczniejsze niż podczas wspomnianej przeze mnie moskiewskiej olimpiady. To nie bardzo pasuje do sportu.

Z tego, co wiadomo, choć pani Claudia Sheinbaum ma równie dobre osobiste kontakty z Trumpem jak Viktor Orbán i Karol Nawrocki, rozważane są różne scenariusze, w tym także przeniesienie meczów z Meksyku do USA. A dzieje się to na mniej niż 100 dni przed rozpoczęciem imprezy!

Donald Trump ma wręcz jakąś obsesję na punkcie imigrantów, choć cały jego wielki kraj, nie licząc Indian zamkniętych w rezerwatach, składa się z imigrantów lub ich potomków. Dziadek Trumpa (w niektórych wywiadach telewizyjnych Trump omyłkowo twierdzi, że ojciec) pochodzi z Niemiec, a babcia z Wielkiej Brytanii. Melania Trump jest Słowenką w pierwszym pokoleniu i nie brak głosów, że podpada pod twarde antyimigranckie przepisy wprowadzane przez jej męża.

Na mundial zwykle wybiera się wielu kibiców z całego świata. Tym razem napotkają liczne bariery. Pierwsza będzie finansowa. Ceny biletów są horrendalne. Pod wpływem światowych nacisków wydzielono pewną pulę wejściówek po 60 dol., ale jest ona bardzo skąpa. Ekipa Trumpa składająca się z biznesmenów wie, że w każdym przedsiębiorstwie trzeba ciąć koszty. Już zapowiedziano, że zlikwidowane zostaną liczne strefy kibica, gdzie można na wielkich ekranach oglądać to, co dzieje się na stadionie.

Drugą barierą będą przepisy graniczne. Zakazem wjazdu do USA objęci są turyści z wielu krajów, z afrykańskich prawie wszyscy. Do USA nie wjadą kibice z Iranu – i tak nie mieliby komu kibicować, bo reprezentacja kraju zaatakowanego przez USA i Izrael na pewno nie weźmie udziału w imprezie. „Naprawdę nie obchodzi mnie, czy Iran weźmie udział w Mundialu" – skomentował ten fakt Donald Trump, dodając, że jest to kraj całkowicie pokonany.

Iran nie przyjedzie

Wycofanie się Iranu (choć jeszcze nieoficjalne) jest w pełni zrozumiałe. To tak, jak gdyby kazać piłkarzom Ukrainy wyjechać na imprezę do Rosji. Konsekwencje dla federacji tego kraju mogą być jednak poważne. Przede wszystkim – finansowe. Będzie musiała zwrócić pieniądze otrzymane od FIFA na przygotowania do mistrzostw (ok. pół miliona franków szwajcarskich). Światowa federacja zastrzega, iż możliwe są dalsze sankcje, m.in. wykluczenie z innych rozgrywek.

Kto miałby zagrać zamiast Iranu? Najprostszy wariant, czyli pozostawienie trzech drużyn w grupie eliminacyjnej raczej nie wchodzi w rachubę, bo jest to sprzeczne z przepisami FIFA. Na pewno nie mogą zagrać piłkarze Rosji lub Białorusi, bo nie brali udziału w żadnych eliminacjach. Mogłyby to być Zjednoczone Emiraty Arabskie, które odpadły z eliminacji tuż przed barażami. Może ktoś z puli drużyn grających w barażach interkontynentalnych? Jestem bardzo ciekawy, jak zostanie rozwiązana ta łamigłówka. Jeszcze bardziej zainteresowani są piłkarze Belgii, Egiptu i Nowej Zelandii, bo los umieścił ich w jednej grupie z Iranem.

Problemy ma reprezentacja Iraku, która zagrać powinna w eliminacjach interkontynentalnych w Meksyku. Zamknięcie ambasad na terenie tego kraju sprawia, że piłkarze i członkowie ekipy mają kłopot ze zdobyciem meksykańskiej wizy. Samoloty na Bliskim Wschodzie nie latają według rozkładu – pojawia się więc kolejny problem.

Donald Trump koniecznie podczas mundialu będzie chciał pokazać, że Ameryka jest znów wielka. A jeśli coś się nie powiedzie? Zawsze można zwalić winę na Meksyk i Kanadę. Albo na Iran.

Może dostanie się prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełenskiemu, którego Trump nie znosi? Naprawdę wiele zależy od tego, którą nogą wstanie z łóżka człowiek, który coraz bardziej czuje się jedynowładcą USA i podejmuje spontanicznie często nieprzemyślane decyzje.

Jeszcze nie wiadomo, czy w najbliższych mistrzostwach świata wystąpi reprezentacja Polski. Ma przed sobą baraże. Jej udział w mundialu nie zależy jednak od polityki, ale od strzelanych bramek.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 11.03.2026 r.

eprasa.pl 69f3f167e1

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Słyszysz? – zapytał premier Tusk, przykładając do ucha zwiniętą w trąbkę prawą dłoń.

– Nie – odpowiedział minister Domański.

– To cena ropy rośnie! – roześmiał się premier z własnego dowcipu.

Domański od finansów też się uśmiechnął, ale nietęgo i półgębkiem. Za to minister Motyka, od energii, siedział ponury i jak na szpilkach. Najchętniej wziąłby dupę w troki i pojechał na pierwszą lepszą stację benzynową, by urządzić konferencję prasową.

Benzyna może i drożeje – powiedziałby – ale co to tak naprawdę oznacza?

Że w końcu będzie tanieć!

• • •

Poseł Czarnek, z zawodu maszynista, jeździł z miasta do miasta, zatrzymywał się na stacjach benzynowych, reporterowi Republiki mówił, co by Czarnek zrobił, gdyby był premierem, rzucał dowcip w stylu hali Sokoła, wsiadał nie do pociągu, lecz do samochodu – i hajda!

Benzyna ciągle drożeje, ale pewnego dnia stanieje i co wtedy? – martwił się w myślach i zaraz przestawał się martwić, do głowy wpadała mu bowiem następująca myśl: coś zawsze drożeje, wystarczy tylko wiedzieć co i głośno to powiedzieć razem z żartem o półchłopach i ćwierćbabach.

– Trzeba też pomyśleć o nowych dowcipach – rzekł Czarnek do siebie tak głośno, że aż szofer się odwrócił.

Ciemny lud łaknie grepsów i wygłupów – dokończył Czarnek w myślach, wiedząc, że jeśli chodzi o grepsy i dowcipy, to w PiS-ie nie ma sobie równych.

• • •

Prezydentowi Nawrockiemu nie było ostatnio do śmiechu. Cena ropy rosła – to dobrze! – ale wraz z nią nie rosła popularność prezydenta, a to już źle, bardzo źle.

– Kogo po pierwsze Polacy obwiniają za wzrost ceny benzyny? – zapytał Nawrocki.

– Trumpa – smętnie odrzekł Bogucki, szef kancelarii. W ogóle był jakiś taki markotny od czasu namaszczenia Czarnka na premiera.

– A co robimy, żeby po pierwsze Polacy uważali, że to wina Tuska? – Uśmiech sztuczny jak sztuczny miód nie schodził prezydentowi z twarzy.

– Nie wiem – posępnie mruknął Bogucki.

Wciąż się uśmiechając, Nawrocki pomyślał o swojej łasce na pstrym koniu. Oraz o tym, że Bogucki wyżej sra, niż dupę ma, a Jakub Banaszek, nowy prezydencki doradca, sra zdecydowanie niżej.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA pieni się na zbrojenia. JOANNA SENYSZYN zachowuje spokój.

Wołk-Łaniewska: – Mówiłam ci kiedyś, że chciałam latać balonem?

Senyszyn: – Nie, tej akurat tajemnicy nigdy mi nie zdradziłaś.

– Otóż 15 lat temu, po śmierci mojego ojca, wybraliśmy się z nowozelandzkim bratem przyrodnim na wycieczkę po Europie i Marek wymyślił, między innymi, przelot balonem nad doliną Loary.

– Niesamowite, bo też byłam i też 15 lat temu, ale samochodem. Zwiedzałam zamki nad Loarą. Byłam zachwycona. Wyobrażam sobie, jak pięknie prezentowały się z góry. Czytałam, że mnogość zamków wynikała z katastrofalnego poziomu higieny. Kiedy smród fekaliów nie pozwalał już wytrzymać w zamku, mieszkańcy przenosili się do kolejnego, a z tego wywożono gnój, bielono i wietrzono komnaty. I tak w koło Macieju.

– Nie to, co gdaniska w krzyżackich zamkach, skąd gówno szło bezpośrednio do fosy, więc śmierdziało na zewnątrz. Nie ma to jak niemiecka myśl techniczna… Wracając do balonu: pilot, który skądinąd wcześniej był pilotem myśliwców Mirage, bardzo mnie przekonywał, że warto skończyć kurs balonowy w Polsce, bo są tanie i dobre. A tu patrz…

– Pilotka z Zielonej Góry, która zginęła w poniedziałek, była instruktorką baloniarstwa i balonową mistrzynią Polski, więc chyba problem nie leżał w jakości kursu… Zmieniając temat na aktualny: myślisz, że Nawrocki jednak postawi się PiS i podpisze ustawę o SAFE? To są naprawdę duże pieniądze z UE – wprawdzie pożyczka, ale na 3 proc. i spłata zacznie się dopiero za 10 lat.

– A ja kibicuję Nawrockiemu, żeby nie podpisał. I Tuskowi, żeby zablokował projekt Nawrockiego.

– To już nie jest symetryzm, tylko zacietrzewienie. Jeśli Nawrocki nie podpisze, i tak pożyczkę weźmiemy, bo ustawa w ogóle nie dotyczy tego, czy brać 180 mld zł kredytu, czy nie brać. Co najwyżej np. na straż graniczną trzeba będzie wziąć z budżetu. Moja kochana, warto rozwijać gospodarkę na kredyt, jeśli się go inwestuje, a nie przejada. Wtedy można go spłacać z dodatkowych zysków, czyli poniekąd bezboleśnie.

– Ależ ja jestem całym sercem za rozwojem na kredyt – zwłaszcza że wprawia w histerię monetarystów. Jestem tylko przeciw zbrojeniom.

– No i właśnie: mając ten kredyt, moglibyśmy na zbrojenia przeznaczyć mniej z budżetu i np. spłacić kredyt koreański, który jest na ponad 6 proc. Ten polski SAFE 0 proc. to tylko bajeczka. Pretekst, żeby ustawy nie podpisać. Od 2022 r. NBP ma straty, które już zbliżają się do 100 mld zł. Jesienią Glapiński pisał, że „nie można wykluczyć straty NBP w kolejnych latach". Teraz mówi o ewentualnych ogromnych zyskach. Teoretycznie mogłyby być ze sprzedaży rezerw złota – 550 ton, ponad 300 mld zł. Do tej pory chciał je zwiększać do 700 ton, a nie zmniejszać. Ale jeśli nawet NBP będzie mieć zyski – co zasadniczo nie jest jego celem – Polsce bardzo przydadzą się dodatkowe pieniądze, których od lat z banku centralnego nie ma.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Oczywiście, że się przydadzą. Na służbę zdrowia przede wszystkim. W grudniu, jak pamiętasz, wydało się, że rząd planuje w ramach oszczędności przywrócić limity na rezonans i tomografię. Zrobiła się zadyma i władza szybciutko powiedziała, że to tylko plan, tralala, nie było tematu.

– A jednak był?

– Owszem. Teraz się okazuje, że „od roku 2026" – czyli najpewniej wstecznie, od 1 stycznia – NFZ wprowadza zasadę, że limitów na tomografię i rezonans, i na dokładkę kolonoskopię i gastroskopię, w zasadzie nie ma, ale jednak są. A za wykonania ponad te nieistniejące limity fundusz będzie płacić 40 proc. I to w rozliczeniu rocznym. Lekarz wykonujący badanie dostaje najczęściej połowę tego, co płaci fundusz. Jak się dowie, że dostanie jedną piątą, i to w marcu przyszłego roku, to powie szpitalowi, żeby go w dupę pocałował. I trudno będzie mieć pretensje. Dlatego nieopisanie mnie wkurwia ten amok militarny – ludzie będą umierać, i to nie od wspaniałej polskiej broni, tylko w kolejkach na badanie…

– Pytanie, czy te ewentualne środki z NBP rząd powinien przeznaczyć na militaria, czy na dofinansowanie ochrony zdrowia jest zasadne – zwłaszcza jeśli możemy mieć pożyczkę z UE. Już słychać, że w kwietniu może być krach w NFZ. Bezpieczeństwo ma nie tylko oblicze ochrony granic, ale też naszego zdrowia, zaspokojenia podstawowych potrzeb itd. Trzeba dbać o życie i zdrowie także w czasie pokoju.

– No i właśnie dlatego kibicuję władzy, jak się żre. Najgorzej by było, jakby się dogadali i przyjęli oba projekty. I wtedy do tych 200 mld, które już wydajemy z budżetu, dołożymy nie 185, tylko 370 dużych baniek na żelastwo. Tak sobie właśnie fantazjował mały Władziu. A jak się nie dogadają i Nawrocki zablokuje SAFE z UE, a Tusk – SAFE z NBP, to może choć trochę pieniędzy da się ocalić na sensowne cele.

– Mówiłam ci: SAFE z Unii będzie tak czy siak. Rząd ma gotową uchwałę, którą podejmie zaraz po wecie.

– E tam, nie doceniasz destrukcyjnych talentów PiS. Na pewno będą Donkowi rzucać kłody pod nogi, może któraś wyląduje. A tak w ogóle: wiesz, że pomysł Nawrockiego jest tak naprawdę pomysłem Kołodki?

– Gdzieś czytałam.

– Pewnie u Kołodki. Napisał w „Dzienniku Gazecie Prawnej", że spotkał się z Nawrockim i mu wytłumaczył, o co chodzi. Z tym, że pan prezydent chyba nie zrozumiał.

– Wcale mnie to nie zaskakuje. Ale z czego wnioskujesz?

– Otóż prof. Kołodko mówi i pisze, że rezerwy banku centralnego – 1,1 bln zł – wcale nie muszą być takie wielkie. Że bezpieczna rezerwa to równowartość sześciomiesięcznego importu, więc bezpiecznie można z nich wyjąć ćwierć biliona. I że lepiej wydać część zbędnej rezerwy, która leży na zagranicznych kontach, przynosząc 2 proc. odsetek, niż brać pożyczkę na 5 proc., a choćby na 3,5. Ale pan prezydent – a w każdym razie jego minister Bogucki – histerycznie zapewniali, że to się odbędzie „bez uszczuplenia" rezerw, czyli cały wykład Kołodki spuścili do kanału. Na szczęście ja znalazłam lepsze rozwiązanie problemu finansowania zakupów zbrojeniowych. Model Ferrari 599XX.

– Ferrari jakoś nie kojarzy mi się z czołgami.

– To akurat nie ma znaczenia, ten sprzęt i tak nie zostanie przecież użyty do żadnej walki, bo nikt nas nie zaatakuje. Chociaż z drugiej strony – wyobrażasz sobie siłę odstraszania?

– Polska armia jest tak bogata, że jeździ Ferrari?

– Właśnie. Ale to nie jest istota mojego pomysłu. Tłumaczę. Otóż w 2010 r. Ferrari wypuściło model 599XX, który kosztował półtora miliona euro i miał to do siebie, że jak ktoś go kupił, to nie mógł go zabrać do domu.

– Tylko co z nim robił?

– Nic. Zostawiał w fabryce. Mógł sobie od czasu do czasu zadzwonić do Ferrari, żeby mu podstawili samochód na wybrany tor wyścigowy, żeby się przejechał. A dwa lata później Ferrari zadzwoniło do tych, którzy kupili te samochody, i im zaproponowało, że za dodatkowe 230 tys. euro wyposaży ich samochód w specjalny spoiler.

– A skąd ty to wszystko wiesz?

– Z „Top Gear", bo skąd? Wracam do mojego pomysłu. Skoro Polacy są tak masowo za zbrojeniami, to proponuję, żeby sobie kupowali czołgi i wyrzutnie rakiet, jak tamci kolesie tamte Ferrari. Urządzi się zrzutkę, kupi armatohaubicę samobieżną, która zostanie w zbrojowni, tylko od czasu do czasu kolektyw fundatorów poprosi i wojsko im dostarczy Kraba na dowolny poligon, żeby się mogli przejechać. Wojsko będzie miało haubicę, Huta Stalowa Wola będzie miała zamówienia, a lud się będzie cieszył, że bierze udział w wysiłku zbrojnym.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 69f3f167e1